

NR 33
maj / czerwiec
2001

aleje 3

**DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**

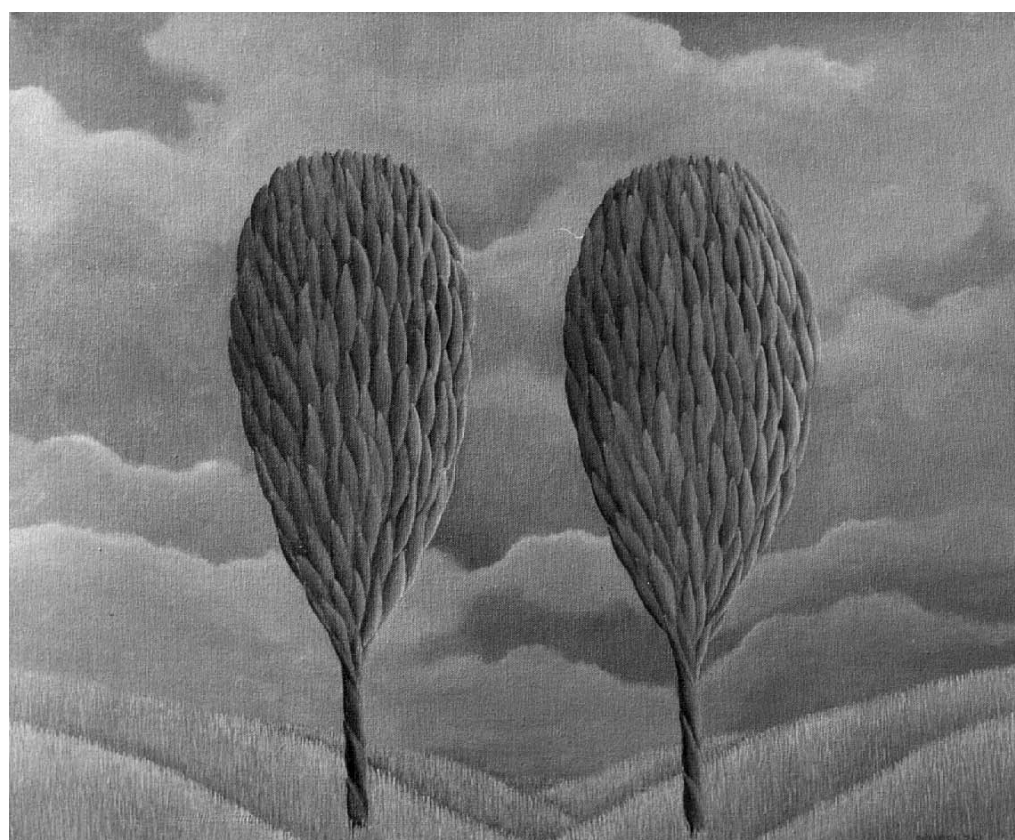
ISSN 1427-8812 CENA 1 ZŁ

W NUMERZE:

- * Janusz Yanina Iwański
- * Ludmiła Marjańska
- * Czesława Monczka
- * Leszek Pilichowski
- * Edyta Załęcka



Fot. Leszek Pilichowski



**O malarce
Barbarze Schrenzel
piszemy na stronie 37**

SPIS TREŚCI

muzyka	4
Scena Błazen	6
proza	8
poezja turniejowa	10
recenzje	11
powroty	16
zapiski o świcie	20
sztambuch teatralny	23
z miasta	27
komiks	29
dla nieprzystosowanych	28
off Broadway	29
plastyka	30
galeria	33
informator kulturalny	wkładka

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

wersja elektroniczna:
<http://www.emediapro.com.pl/aleje3>

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emediapro.com.pl

Redaktor naczelny
KRYSZTOF PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:
SŁAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta
ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny
MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP

wydawnictwo
eMedia

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89

DRUK

DRUKARNIA **KEMOT**
Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne
MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

ZWIELKĄ IRYTACJĄ WYŚLUCHUJĘ W MEDIACH (gadających) kolejnych alarmujących raportów o upadku kultury w społeczeństwie. To, że obecnie dziennikarze najbardziej fascynują się światem gangsterskim, uwielbiają szokować drastycznymi scenami, skandalami, dziwolągami natury nie jest żadną tajemnicą. Świadczy raczej o upadku duchowym i zepsuciu smaku tychże opiniotwórczych dziennikarzy, reporterów, speców od mass mediów. Odbiorcy pozostaje łkanie tego co mu podano, a że ostatnio coraz częściej zwraca ową papkę, nie jest stanem alarmującym, ale objawem zdrowia psychicznego. Zewsząd słychać krzyk: „tylko co czwarty Polak przeczytał książkę w ub. roku”. Sam kiedyś byłem ankietą i wiem jak się takie badania ro bi, więc odnoszę się do nich z dużą rezerwą. „Wycinek badanych” przeważnie nie pokrywa się z „przekrojem społeczeństwa”. Kiedyś Polacy też dużo nie czytali i nie było to wielkim problemem. Fakt, że zwalczono analfabetyzm nie znaczy, że wszyscy mają nagle zamienić się w mole książkowe, gdyż nie wszyscy to lubią i nie każdy ma odpowiedni temperament do ślęczenia nad 800-stronnicową cegłą. Wśród Polaków są technicy, sportowcy, rolnicy i np. cykloniarze, którym czytanie książek do szczęścia nie jest potrzebne. Wielu ludziom wystarczy zdrowy rozsądek i zaradność życiowa. Te cechy pozwalają przetrwać w naszych niełatwych czasach. Tak krytykowany program szkół podstawowych zmieniany pod kątem praktyczności nauczania u nas od razu jest etapem amerykańskiej kolonizacji. To nasze zgubne przywiązanie do tradycji humanistycznej jeszcze nie raz może narobić nam kłopotów w Zjednoczonej Europie. Gdy wspominał swoją edukację to pamiętam, że w klasie tylko kilka osób czytało lektury, reszta znała je z opowiadań i opracowań. Poza tym wystarczy przejrzeć rankingi sprzedaży z księgarń i statystyki wypożyczeń w bibliotekach, by się przekonać, że istnieje spora grupa ludzi sięgających po książkę, a nawet kupujących ją, co przy obecnych cenach jest co najmniej

dziwne. Kultura była i jest zajęciem elitarnym, nie tylko z powodów finansowych czy snobistycznych. Artyści zawsze stawiali się ponad społecznością i jej normami, często tworzyli namiastki parnasu, kapłaństwa, zamkniętych kręgów, gdzie można było dostać się tylko po protekcji osób zaufanych. Stąd i stosunek prostego gminu do twórców był obojętny, jeśli nie niechętny, i jest to zrozumiałe. Co do upadku kultury, to przecież ktoś w tej Polsce ogląda filmy, chodzi na koncerty i do teatru, kupuje obrazy itd. Osób amatorsko uprawiających sztukę także jest bardzo dużo. To wszystko jakoś żyje, pomimo kryzysu w kieszeni niejednego podatnika. Jedynie idiotyczne wydaje mi się posunięcie Ministerstwa Kultury, rozpętujące kampanię reklamową w stylu hipermarketów pod hasłem „Rok Kultury”. Niesmaczne, nieprzemysłane i naiwne działania skierowane przeciwko pospolitej konsumpcji w dużych sklepach. Czy ludzie mają zapełniać kosze stosami nieużytecznych abstrakcyjnych rzeźb, płachtami olejnych płócien, poematami Miłosza i Szymborskiej? Czy to jest walka z marketami czy złe podejście do sztuki? A może nasze władze nie przyzwyczyły się jeszcze do postępującej, acz nieuchronnej globalizacji (i jej skutków)?

A jednym z nich jest fakt, że „Aleje” wychodzą szerzej w świat. Skoro ze względu na brak funduszy nie możemy być pismem o zasięgu ogólnopolskim w postaci drukowanej, może uda nam się zaistnieć w postaci elektronicznej. W miesiącu kwietniu uruchomiliśmy Serwis Internetowy „Aleje 3” pod adresem: <http://www.emediapro.com.pl/aleje3>. Tam też osoby spoza naszego regionu mogą znaleźć cztery poprzednie zeszyty w formacie PDF i ściągnąć je na swój komputer. Bieżący numer wydajemy po raz pierwszy w całości na tychże stronach do czytania „on-line”. Następnym naszym zamierzeniem jest uruchomienie forum dyskusyjnego pod naszym patronatem. Celem tej inicjatywy jest uaktywnienie szerszej dyskusji o kulturze.

Sławomir Burszewski

Rozmowa z

Januszem Yaniną Iwańskim

I kwietnia na deskach sceny kameralnej Filharmonii Częstochowskiej odbyła się premiera sztuki Augusta Strindberga „Panna Julia”. Postanowiłam poprosić o rozmowę twórcę muzyki do tego spektaklu, Pana Janusza Yaninę Iwańskiego. Nasze spotkanie, na życzenie mego rozmówcy, miało miejsce w restauracji „Prohibicja”.

Agnieszka Olszańska – Muszę przyznać, że zaskoczył mnie sposób wykonania muzyki na żywo, która zresztą doskonale oddała nastrój tego dramatu. Skąd taki pomysł?

Janusz Yanina Iwański – Trzy lata temu razem z Markiem Ślosarskim chcieliśmy zrobić monodram z żywą muzyką. Podchodziliśmy do tego przedsięwzięcia kilkakrotnie, ale nie zostało ono sfinalizowane.

Sam pomysł nie jest nowy, muzyka od lat była związana z teatrem. Niestety cięcia budżetowe spowodowały, że nie ma żywej muzyki, tylko muzyka odtwarzana z taśmy.

Zależało nam na tym, żeby stworzyć sztukę żywą i autentyczną. Jesienią ubiegłego roku razem z Markiem postanowiliśmy ponowić próby stworzenia muzyki właśnie do sztuki „Panna Julia”. Bardzo długo rozmawialiśmy o tym, jak zrealizować nasz pomysł. Cztery tygodnie przed premierą przyszło mi do głowy, aby była to muzyka napisana na wiolonczelę solo. W tym czasie wyjechałem na koncerty do Francji. Tu miała miejsce bardzo sympatyczna sytuacja. Okazało się, że mój serdeczny przyjaciel, Krzysztof Majchrzak, który mieszka we Francji, i z którym tam koncertowałem, posiada wiolonczelę w swoim domu. Musiałem nieco odświeżyć sobie rejestry i brzmienie tego instrumentu, więc ruszyłem w gamy i pasaże. Muzyka w całości została napisana w Lionie. Kiedy wróciłem do Polski, okazało się, że idealnie pasuje do spektaklu.

A.O. – Oczywiście musiał Pan przed napisaniem muzyki przeczytać dokładnie dramat Strindberga.

J.Y.I. – Tak, wielokrotnie czytałem scenariusz, zagłębiałem się myślami w wyobrażenie o spek-

taklu. Natomiast muzykę dopasowałem dopiero po pierwszych próbach na scenie w Filharmonii.

A.O. – Wspomniał Pan, że muzyka napisana była na wiolonczelę. Podczas spektaklu gra Pan na gitarze. Dlaczego?

J.Y.I. – Pani reżyser, Katarzyna Deszcz, namówiła mnie, bym skomponował również partię gitarową i zagrał w spektaklu.

A.O. – Pozwolił Pan, że cofniemy się nieco w czasie. Wiem, że niegdyś ściśle współpracował Pan ze Stanisławem Soyką. W jaki sposób nawiązała się ta znajomość?

J.Y.I. – Nasza znajomość sięga końca lat 70. W lutym roku 1984 założyliśmy orkiestrę punkowo-jazzowo-rockową „SVORA”, gdzie śpiewał Staszek, a grał trzon „Tie Breaku” i kilku muzyków ze Śląska. W tym zespole wspólnie zaczęliśmy tworzyć piosenki. Ja pisałem muzykę, a Staszek wiersze. Tak zaczęła się nasza przyjaźń. W tym czasie „Tie Break” i Soyka wycofali się z „jazzikowego” rynku (widzę uśmiech na twarzy [A.O.]). Jednak po pewnym czasie okazało się, że nikt nas nie chciał. Czuło się jeszcze wtedy atmosferę stanu wojennego, a teksty Staszka dokładnie odzwierciedlały tamtą rzeczywistość. Dopiero po dziesięciu latach udało się nam nagrać jeden z tamtych utworów – „Madame Schizofrenia”. Okazało się, że utwór się spodobał dopiero wtedy, kiedy byliśmy popularni. Ostatnim koncertem w powyższym składzie był występ w Jarocinie w roku 1984. Po tym wydarzeniu rozstaliśmy się ze Staszkiem i później występowaliśmy w sekstecie jako orkiestra WooBooDoo. Wprowadziliśmy wtedy na rynek muzyczny kilka przebojów m.in. „Mam fioła” i „Nie wiem”.

A.O. – Półtora roku temu została wydana Pańska płyta „Kapela Yanina 2001”. Jaki charakter mają kompozycje z tej płyty?

J.Y.I. – Jest to muzyka stricte jazzowa, nowoczesna bez żadnych ułatwień. Została nagrana w składzie: Łukasz Kluczniak – sax alt, Marcin Lamch – bas i Przemek Pacan – dr.

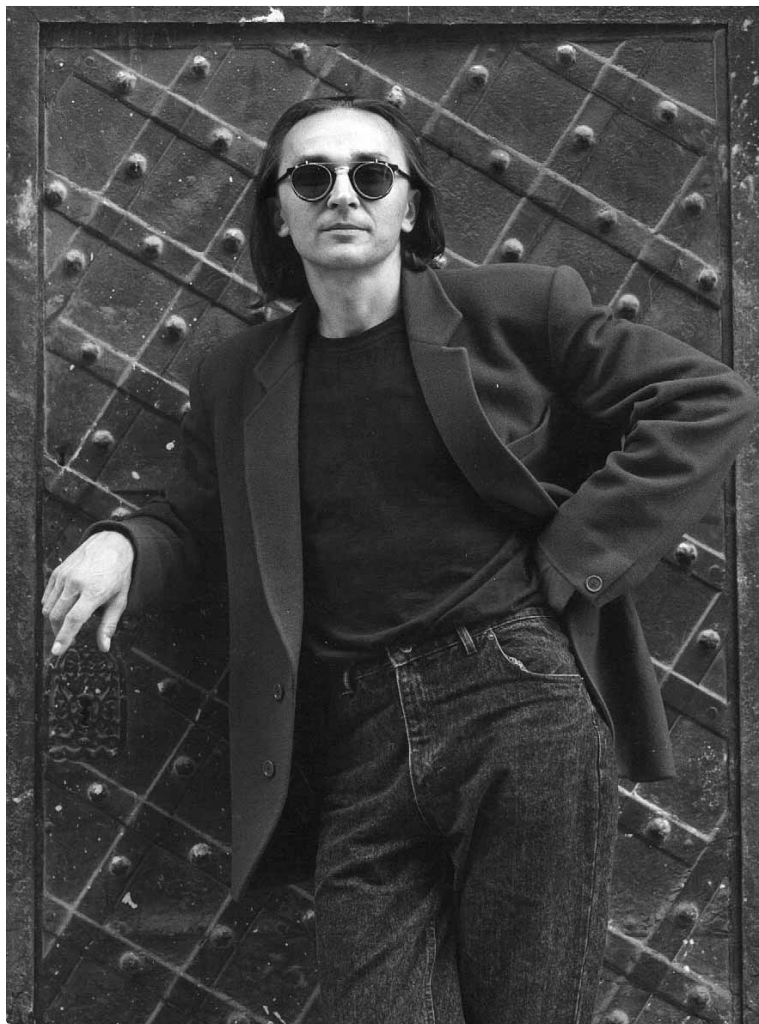
A.O. – Na płycie znajdują się dwa utwory napisane na potrzeby filmu. Czy często pisze Pan muzykę filmową i teatralną?

J.Y.I. – W tej chwili ukończyłem muzykę dla teatru telewizji „Brat Elvis” w reżyserii Łukasza Wylężałka. To on namówił mnie do tworzenia muzyki filmowej i dla teatru telewizji. Natomiast do pisania dla teatru żywego zachęcił mnie Henryk Talar. Zaproponował mi skomponowanie muzyki do spektaklu „Lot nad kukułczym gniazdem”. Była to trudna decyzja, ale zgodziłem się. Zanim napisałem muzykę, kilka miesięcy spędziłem w teatrze, chcąc zapoznać się ze sceną teatralną. Bardzo często siedziałem na widowni, chodziłem po scenie, bywałem na wszystkich próbach. To pozwoliło mi na zrozumienie i doświadczenie, czym jest przestrzeń w teatrze. Cieszę się bardzo, że muzyka została bardzo dobrze przyjęta i cieszyła się dużym powodzeniem wśród krytyki.

A.O. – Czy można powiedzieć, że woli Pan pisać muzykę na potrzeby teatru, czy raczej muzykę rozrywkową?

J.Y.I. – Uważam, że każde dziecko należy kochać tak samo. Jeżeli coś komponuję, robię to z wielkim zaangażowaniem. Aczkolwiek nie ukrywam, że najbardziej lubię stać na estradzie.

A.O. – A czy nie myślał Pan o napisaniu książki?



fot. Wojciech Prazmowski

J.Y.I. – Jestem właśnie w trakcie gromadzenia materiałów do książki, ale myślę, że jej ukończenie zajmie mi jeszcze kilka lat. Właściwie będzie to książka o moim środowisku, a tytuł roboczy ma „Tie Break – moje życie”.

A.O. – Czy możemy w najbliższym czasie spodziewać się wydania Pańskiej nowej płyty?

J.Y.I. – Właśnie jest na ukończeniu moja druga autorska płyta. Piosenki są już nagrane, trzeba jeszcze tylko je zaśpiewać. Przyznam, że czuję wielką odpowiedzialność przed nagraniem tych kompozycji. Muzykę i słowa do tej płyty skomponowałem sam, oprócz dwóch wierszy: pierwszy jest autorstwa Andrzeja Sularza, a drugi księdza Twardowskiego pt: „Powiedz”. Jestem również producentem tej płyty razem z Mateuszem i Marcinem Pospieszalskimi.

A.O. – Dziękuję bardzo za rozmowę i życzę Panu zrealizowania wszystkich planów.

Z PERSPEKTYWY BŁAZNA

Czasem w rozmowach o Scenie „Błazen” słyszę słowo „sukces”. Używane jest ono przez niektóre osoby tak w stosunku do mnie, jak i do Sceny. Nie lubię tego słowa. Nie z powodu fałszywej skromności. Nie lubię tego słowa dlatego, że zawiera w sobie wszystko, z czym na scenie się nie zgadzam. Z pojęciem tym kojarzy się bowiem konkurencja. Ta zaś, dobra dla gospodarki lub sportu, na scenie zabija najistotniejsze składniki wyrazu artystycznego. Artysta dla sukcesu zamyka się tematycznie (wiadomo, że trudniejsze tematy są towarem mało chodliwym). Pod presją konkurencji ogromnie rośnie trema często uniemożliwiająca jakikolwiek przekaz (szczególnie u mało doświadczonych i wrażliwych osób).

Słowo „sukces” i związana z nim rywalizacja godzi w samą istotę Sceny „Błazen”. Scena została pomyślana jako miejsce spotkań i rozmów. A jak szczerze i otwarcie mają rozmawiać ludzie, którzy ze sobą w danym miejscu konkurują? To tak jak namawiać do przyjacielskiej rozmowy biegaczy w trakcie sprintu bądź szefów konkurujących ze sobą firm w czasie kryzysu gospodarczego. A przecież rozmowa dla każdego człowieka wydaje się być konieczna do życia. Zgadzam się bowiem z twierdzeniem psychologów, że nie posiadamy w sobie obiektywnego narzędzia poznania samych siebie. Nasz naturalny egocentryzm czyni introspekcję krzywym zwierciadłem. Rozmowa z drugim człowiekiem jest niezbędna do zobiektywizowania naszego własnego wizerunku. Ci, których na to stać wybierają w tym celu psychoanalityka, inni zaś gro-

no przyjaciół, jeszcze inni wrażliwego artystę. Tym ostatnim serdecznie polecam spotkania Sceny „Błazen”. Sam o sobie dowiedziałem się tam więcej niż mógłbym przypuszczać wtedy, kiedy zaproponowałem kilku znajomym artystom pierwsze spotkanie.

Po kilkunastu wieczorach wydaje się, że potrzeba rozmowy była wielka, bo zawsze nasze spotkania przenoszą się z OPK „Gaude Mater” do kawiarnianych stolików i trwają, zapewniam, bardzo długo. Smak piwa nie jest przy tym głównym tematem rozmów. Przy okazji polecam władzom miasta sprawę utworzenia stałego klubu środowiska twórców i artystów.

Wracając do „sukcesu” – o ile dobrze pamiętam nie okazał się być tematem godnym naszych rozmów. Oby tak zostało!■

Tomasz Kmiecik



Kto nie lubi poniedziałków?

Powiedzenie ze znanej komedii T. Chmielewskiego „Nie lubię poniedziałku” może, za sprawą Sceny „Błazen”, okazać się nieaktualne. Wieczory artystyczne odbywają się od ponad pół roku i prawie zawsze są udane. Ci, którzy uważają inaczej, oczekują, aby Scena pełniła funkcję ludyczną. Odsyłam ich do artykułów zamieszczonych w poprzednim nume-

rze „Alej”. O naszych wieczorach usłyszeli już słuchacze radiowej „trójki”. Tomasz Kmiecik był gościem trójkowej audycji. Dziwi zatem fakt, że o „Błaźnie” nic nie wiedziała lokalna rozgłośnia, która podobno interesuje się sprawami miasta. Tym, którzy nudzą się w poniedziałkowe wieczory lub narzekają, że w Częstochowie nic ciekawego się nie dzieje zapraszam do OPK „Gaude Mater” o godz. 19:00. O naszym programie informują rozwieszane „na mieście” plakaty z logo przedstawiającym błazna z gitarą (wg projektu Włodka Grabowskiego).

Nasi goście

5. lutego 2001 roku gościem Sceny była Barbara Stępnia-Wilk. Basia jest związana z krakowskim kabaretem Loch Camelot. W roku 1998 ukazała się jej debiutancka płyta pt. „O obrotach”. Jej piosenki wprowadziły częstochowską publiczność w klimat kra-

kowski. Trudno się dziwić, skoro artystka co sobotę występuje także w Piwnicy pod Baranami. Teksty Basi są pełne poezji i autentycznego przeżywania świata, opiewają magię codzienności. Szczególnie urzekająca jest piosenka o przemijaniu pt. „Magnolie”. Artystka zdobyła wiele nagród muzycznych. Pewien konferansjer przejęczył się zapowiadając jej występ i powiedział: „Proszę Państwa przed Wami – zdobywczyni wielu laureatów!”

Inny charakter miał występ Andrzeja Poniedziałkiego. Artysta wraz z Elżbietą Adamiak prowadzi w Łodzi piwnicę artystyczną „Przechowalnię” i jak głosi plotka „piwnica przechowuje twórców na czasy lepsze”. Poniedziałki to urodzony gawędziarz. Cały wieczór opowiadał anegdoty, które miały przekonać widzów, że pisanie wierszy i uprawianie poezji niesie ze sobą prawdziwe korzyści niematerialne. Publiczność z zainteresowaniem wysłuchała jego ciekawych

refleksji i humorystycznych trawestacji znanych utworów poetyckich m.in. A. Mickiewicza i A. Asnyka.

Wieczór różności

5.03.2001

Dwunaste spotkanie na Scenie „Błazen” rozpoczyna występ zespołu „MY”. Jedną z piosenek ma bardzo mroczny nastrój: „smród kokainy”, „poświata księżycy”, „ciemne otchłanie” i śmierć składają się na treść utworu. Niektórzy artyści zamieniają się rolami. Sergiusz Orłowski, zwykle śpiewający, postanawia zadebiutować jako poeta. Czyta swój wiersz w stylizacji B. Leśmiana: „Tak my w świetle i w cieniu stajemy się jednym”. Natomiast poeta Mateusz Szkop wychodzi na scenę z gitarą. Układa instrument na krześle i żartobliwie przyznaje: „Wybaczcie mi moją tremę, ale pierwszy raz występuję z gitarą.” Po czym, ku zdziwieniu publiczności, jakby nigdy nic recytuje swoje oryginalne teksty poetyckie. Agnieszka Otrębska śpiewa rytmiczną piosenkę pt. „Kroki” i nostalgiczny utwór „Tęsknota”. Akompaniuje jej na gitarze Marek Norberciak. Szymon Grzegorzewski prezentuje swoje erotyki, które ułożył w cykl „studium związku”. Asia Bystry wykonuje piosenkę, w której udowadnia, że czas nie jest litościwym lekarzem. Następnie słyszymy piękny utwór do wiersza Haliny Poświatowskiej i muzyki Janusza Yaniny Iwańskiego w interpretacji Agaty Ślęzyk. Agata reprezentuje wysoki poziom i dojrzałość artystyczną. Czekamy na jej debiutancką płytę! Oczywiście poważna atmosfera pryska za sprawą Bońka Dymarczyka. Aktor (z dziesięcioletnim stażem na estradzie) prosi o więcej światła, w razie gdyby musiał uciekać ze sceny. Na szczęście publiczność „Błazna” nie rzuca pomidorami. Zresztą występ Bońka zasługuje na brawa. Przedstawia on pastisze znanych przebojów z różnych lat (m.in. Maryli Rodowicz). Prezentację częstochowskich artystów zamykają:

Czesława Monczka balladą „O arlekinie” i Piotr Tarnowski odczytaniem aktu historycznego w stylu Teatrzyku „Zielona Gęś”.

Na Scenę „Błazen” zostali zaproszeni (przez Tomka Kmiecika) Dominik Kwaśniewski i Bogusław Kaczmarczyk – duet z Krakowa związany z kabaretem Loch Camelot.

Dwunaste spotkanie to wieczór różności. Nostalgia przeplata się z radością, poezja z muzyką, patos z rubaszością. Mottem wszystkich występów mogą być słowa piosenki naszych gości:

„Trudno w tych czasach mieć nadzieję, że błazen łaski zazna. Każdy mędrzec idiotycie i robi z siebie błazna...”

„I Bóg stworzył kobiety”

19.03.2001

Trzynaste spotkanie zapowiada się pechowo. Z powodu choroby odwołuje swój występ gość z kraju, Tomasz Olszewski. Jednak nasi artyści świetnie sobie radzą. Na początek siedmioosobowa grupa „Edek i Kredki” wykonuje trzy utwory. Andrzej Gęsiarz recytuje poezję Świetlickiego. Specjalnie dla „Błazna” urywa się z próby w teatrze Czesława Monczka. Aktorka śpiewa piosenkę z repertuaru kabaretu „Starszych Panów”. Na scenie pojawia się wielu debiutantów. Agata Myśliwiec prezentuje pełen ekspresji kolaż monologów miłosnych. Zmienia przy tym głos, biega po scenie, gra na fortepianie, udaje Don Kichota i Izoldę. Jej dynamiczny występ podoba się publiczności. Student UŚ, Rafał Bulski, wygłasza mowę obronną mężczyzn, posługując się przy tym różnymi rekwizytami: Biblią, sznurem, tabelami statystycznymi. Na jego komendę wszyscy panowie obecni na sali w OPK wstają, podnoszą prawą dłoń i powtarzają za Rafałem żartobliwą deklarację PARTII MĘŻCZYŹN: „My, mężczyźni, ślubujemy doprowadzić świat do porządku. Powiedzieć kobietom: Nie...” – Przy-

znam, że takie pospolite ruszenie panów sprawiło mnie w osłupienie. Błyskotliwy show Rafała prowokuje artystów do dyskusji: mężczyźni kontra kobiety. Każdy artysta dodaje trzy grosze przed swoim właściwym występowaniem na wspomniany temat. Dyskusję zamyka Boniek Dymarczyk cytując fraszkę satyryka Artura M. Swinarskiego: „Pan Bóg zawsze chciał stworzyć dwóch facetów, ale na drugiego nie starczyło mu gliny”.

Wszystkim przesadnym komunikują, że trzynasty wieczór na Scenie „Błazen” był bardzo udany. Wystąpiła rekordowa liczba artystów częstochowskich i nie sposób skomentować wszystkich prezentacji (Agata Ślęzyk, Szymon Grzegorzewski, zespół „MY”, grupa „Kwiaty w armacie” Wioletta Grzegorzewska, Piotr Tarnowski, Sergiusz Orłowski, Asia Bystry, Kasia Matejczyk, Agnieszka Szmuryłło). Dwukrotnie pojawiły się akcenty dotyczące naszego miasta. W wierszu Rafała Salamuchy: „Historia tego miasta/ co roku się powtarza/przeszyte głośną wstęgą i zarazą pielgrzymów...” oraz w piosence Bońka Dymarczyka: „Nie zrobicie metropolii z Częstochowy”. Chciałoby się odpowiedzieć: – Może metropolii nie zrobimy, ale dzięki Scenie „Błazen” poprawimy kondycję kulturalną naszego miasta. ■

Wioletta Grzegorzewska

Piotr Tarnowski

– stały uczestnik spotkań



Udawaj ze mną Brazil

Marcin Tarkowski

MIESZKAŁEM MIĘDZY ŚCIANAMI NIEWIELKIEJ kamienicy i na początku udawałem odgłosy cykającej podczas zmian temperatury rury. No, właściwie nie była to rura, a mała rurka od centralnego ogrzewania, ale i tak byłem z siebie bardzo zadowolony. Spośród dziesiątków aktorów, inżynierów i naukowców wybrano właśnie mnie. Cóż, w końcu to odpowiedzialne zadanie, a jak stwierdziła komisja, miałem ku temu wszelkie predyspozycje. Byłem w stanie przez sen podać im odpowiednią częstotliwość cyknień w każdej rurze centralnego ogrzewania w zależności od wielkości tak jej, jak i budynku. Właściwie w tym, co robiłem byłem tak dobry, że lokatorzy, zachwyceni moim profesjonalizmem, specjalnie kopali w rury po nocach udając, że nie mogą spać. Podobno byłem nawet lepszy od faceta w kuchni, który udawał kapanie wody na metalową miskę.

Tak to wyglądało przez jakiś czas. Właściwie było mi z tym dobrze. Nie garnałem się od razu do wielkiego świata kariery, ale też nie miałem zamiaru tkwić między ścianami do końca świata bez możliwości awansu. A potem co? Udać śmierć i odejść na emeryturę? Co to, to nie. No i doczekałem się. Za jakiś czas udawałem już skrzypienie podłogi u sąsiadów, a niedługo potem odbicie w lustrze. To było pracochłonne. Nie mogłem dać plamy, a w naszej kamienicy było sporo luster. Niestety, ludzi (znaczy naprawdę dobrych w swoim fachu) wciąż brakowało, dlatego też nadal kontynuowałem, prócz tego, moje poprzednie zajęcia.

Wtedy zjawiała się ona. Udawała, że nazywa się Anna. Miała niezły kostium do swej roli. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście jest blondynką. Poza tym była to cicha, uprzejma dziewczyna, świetnie udająca, że wynosi starszym sąsiadom śmieci. Prawdę mówiąc była niezła w tym, co robiła. Nie wiedziałem co jeszcze udaje, bo wychodziła rano, a nie przeczuałem, że to też profesjonalistka. Nie raz, przed wyjściem z domu, odwracała się w kierunku lustra i mówiła z figlarnym uśmiechem do swego odbicia (czyli do mnie): „Tylko nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła...”. Uśmiechałem się wtedy – po tym, gdy już wyszła, naturalnie.

Chciałem się do niej zbliżyć, wy badać ją, dlatego udawałem odbicie w jej lustrze częściej niż u innych. Nawet wtedy, gdy nikt się tam nie odbijał. Skarg na

mnie za zaniedbywanie obowiązków jakimś cudem nie było. A może lokatorzy tylko udawali...

Pewnego dnia wszyscy mieliśmy udawać spokój w kamienicy, więc nawet nie cykałem, a ludzie, imitując odgłosy ciszy, nie podchodzili do luster. Mogłem zatem na chwilę wyjść na ulicę, tym bardziej, że i tak miałem tam potem coś do zrobienia. Na początku udawałem, że śledzę Annę, ale szybko zniknęła za rogiem. Kiedy tam dotarłem, już jej nie było. Postanowiłem spytać kogoś, czy jej czasem nie widział.

– Nie – odparł facet przebrany za psa, planowo obsikując trzecią latarnię od zakrętu. Dziwne, pomyślałem i wydałem z siebie dźwięk klaksonu. Koło nas przebiegła właśnie czwórka ludzi udających samochód. To było moje dzisiejsze zadanie: zatrąbić, gdy będą przebiegać. Sami i tak mieli już dużo na głowie, bo każdy udawał jeszcze, poza autem oczywiście, dźwięk którejś z jego istotnych części oraz rozmowy pasażerów. Cóż, w sumie klakson miał być słyszalny tylko w tym miejscu, koło skrzyżowania (właściwie chłopa, który całkiem nieźle je udawał, tylko kostium asfaltu marszczył mu się przy chodniku). Gość udający psa stał i ze znużoną miną patrzył na tamtych czworo, którzy już pobiegli dalej. Nad nami facet, udający pogodę, rozglądał się niemrawo i wydawał z siebie dźwięki chmur zasłaniających chwilowo słońce. W zasadzie nic nie było słychać, ale o to właśnie chodzi w dobrym dźwięku tego typu.

Było gorąco. Wszystko toczyło się leniwie swymi torami, więc miałem czas na rozmyślenia. Zastanawiałem się, czy Anna zwróciłaby na mnie więcej uwagi, gdybym miał jakieś ciekawsze zajęcie. Przyszło mi na myśl dwieście osób, które udawały niedawno duży samolot pasażerski. Ci to mieli ubaw! Właściwie znaleźliśmy się z Anną już trochę na gruncie zawodowym, ale wciąż nie bardzo wiedziałem, czego ona mogłaby chcieć. Postanowiłem się jeszcze trochę przejść. Może na coś wpadnę?

Ze dwudziestu ludzi, udających autobus, przebiegło właśnie od strony przystanku. Nie mogłem tylko zrozumieć, co robiła jakaś tarzająca się za nimi kobieta.

– Jestem porzuconą reklamówką, no wie pan, zrywka. Tylko zapomniałam dzisiaj kostiumu – powiedziała, widząc, że się jej przyglądam.

– Cóż, zdarza się – odparłem uprzejmie, ganiąc ją w duchu za nieprofesjonalizm. Cholera, nawet bez kostiumu zagrałbym to lepiej, a w domu wyrysowałbym plan tarzania i skonsultował go z facetem robiącym dzisiaj za wiatr. Tymczasem jego tu nawet nie było! Zaszeleściłem cicho, kiedy kobieta przetarla się koło mnie – nie mogłem patrzeć, jak się męczy. Spojrzała na mnie z wdzięcznością.

– Kra! – odparłem, bo właśnie przechodził chłop udający wronę. – Przekichane – pomyślałem i poszedłem z nudów udawać drzwi na poczcie. Do końca dnia nie mogłem wpaść na żaden sensowny pomysł.

Kurczę, tej nocy miałem naprawdę porąbany sen. Śniło mi się miasto. Ale nie takie normalne, tylko prawdziwe, gdzie nikt nic nie udawał. Nikt, poza mną i Anną. My udawaliśmy siebie. Ale tu, choć każdy myślał, że się kochamy, sami nie mieliśmy takiego wrażenia, mimo iż rozegraliśmy wszystko naprawdę świetnie. Nie mogłem tego znieść. Nagle poczułem się pusty. Żaden człowiek nie doceniał tego, co robiliśmy, jak gdyby całe udawanie nie miała sensu! A przecież gdybym przestał... gdybyśmy przestali, to kim niby mielibyśmy być?!...

Obudziłem się. Facet, który udawał zimny pot, właśnie ze mnie zląził. Widząc, że otworzyłem oczy, pożegnał się cicho i wyszedł. Miałem dość. Przez resztę nocy udawałem głośne oglądanie telewizji. Sąsiedzi udawali, że nie słyszą. Nie była to zbyt udana noc. Poza jedną sprawą: miałem pomysł.

Rano natychmiast poszedłem do mieszkania Anny. Udawała zdziwienie, widząc mnie w tych okolicznościach. Dotąd widzieliśmy się tylko przez lustro lub w wolnych chwilach. Jednak wpuściła mnie do mieszkania. Wewnątrz kilka osób udawało sprzęty gospodarstwa domowego, ale Anna zaprowadziła mnie do pokoju, gdzie mogliśmy bezpiecznie rozmawiać.

– Słuchaj – zacząłem – musimy uciekać.

Anna chwyciła mnie za rękę i patrzyła prosto w oczy, przestraszona.

– Co się stało? – głos jej drżał.

– Jeszcze nic – odparłem. Żał mi się zrobiło, że ją tak przestraszyłem.

– Anno... – Nie wiedziałem, jak to powiedzieć, więc wypaliłem wprost: – Kocham cię.

Przez długą chwilę myślałem o strasznym błędzie, który popełniłem. Myślałem o straconej karierze i wspaniałych posadach, porządnym rolach i zadaniach, kiedy Anna uśmiechnęła się smutno i głaszcząc mnie po policzku powiedziała:

– Wiem.

Odetchnąłem z ulgą. Opowiedziałem jej mój sen i cały związek z tym plan wymyślony w nocy.

– Niech sprawdzę, czy dobrze cię zrozumiałam – odrzekła dziewczyna. – Chcesz skończyć z udawaniem, bo czujesz, że tak naprawdę jesteśmy nikim? Ale przecież tylko w taki sposób ktoś nas może docenić. Teraz jesteśmy tym, kim wszyscy od nas oczekują, że będziemy. Co nas tam czeka, na zewnątrz? Dla kogo będziemy tam udawać? Dla kogo tam w ogóle będziemy?

– Dla siebie... – powiedziałem tylko. Anna musiała dostrzec wreszcie ów ogień w moich oczach, który popychał mnie do tego czynu, bo tylko pocałowała mnie i wstała.

– Zaczekaj, wezmę parę rzeczy i idziemy! – rzuciła z drugiego pokoju.

– Nie. Nie ma czasu. Już wiedzą, że coś jest nie tak. Nie pojawiłem się dziś od rana w żadnym luście. Na pewno ktoś to zauważył. Wiesz, jak szybko wtedy działają. Musimy uciekać, już! – To mówiąc zerwałem się z wersalki, chwyciłem Annę za rękę i pobiegłem do swojego mieszkania. Było tam wejście między ściany i właśnie z niego namiętnie korzystaliśmy, gdy za oknem dało się słyszeć dobrze udawane odgłosy syren policyjnych i zatraskiwanych drzwi samochodów. Ci goście byli profesjonalistami. Włos na karku mi się zjeżył. Zwiększyliśmy tempo. Nie było już czasu na finezję. Zacząłem targać scenografię.

– Co robisz? Co ty sobie wyobrażasz?! – krzyczała przerażona Anna. Miała już łzy w oczach.

– Nic. Nic już sobie nie wyobrażam – odmruknąłem, a widząc jej minę, chwyciłem ją za rękę i dodałem:

– Za długo żyliśmy tylko w wyobraźni.

Targałem dalej. Nie wiedziałem, jak blisko mógł być już pościg; byłem zbyt zajęty swą pracą, by tracić czas na nasłuchiwanie. Wkrótce uderzył w nasze oczy promień światła. Powiększyłem otwór i po chwili byliśmy już na polanie. Wreszcie wolni. Po raz pierwszy nie udając niczego, co...

Jasny błysk rozświetlił całą okolicę w moich oczach. Zobaczyłem jeszcze drzewa, twarz Anny, trawę. Zrobiło się ciemniej. Słyszałem głosy. Potem już nawet nie udawałem, że je słyszę. Już nie udawałem...

– Świetna rola! – krzyczał gość, udający kapitana policji. Inni poklepywali Annę po plecach.

– Wspaniale!

– Co za aktorstwo.

– Cóż za niebywałe poświęcenie, żeby tak grać do końca... – To było adresowane do zwłok leżących w trawie. Facet, udający gliniarza czyścił swój pistolet.

– Wspaniałe odgłosy strażaków! – gratulował komendant policji. – A pani po prostu przerosła siebie. Przygotowywaliście to po godzinach? Słyszałem, że jako hobby. Żeby tak udawać piękną, zakochaną kobietę... No, no, no.

Rzeczywiście, na Annę prawie teraz nie dało się spojrzeć, taka była nieatrakcyjna. Toteż komendant (albo raczej gość, który go udawał) odwrócił wzrok. – Może byłaby ładniejsza, gdyby przestała płakać – pomyślał. Cóż, to pewnie ze wzruszenia. ■

BAJKI O PÓŁ- LUDZIACH

W MEGABAJTOWIE

Pan Norton Commandor i jego żona Amiga żyli sobie spokojnie w swoim zjechanym już pececie od wielu dobrych lat. Niewielka komnata na twardej dysku o niedużej pojemności dostarczała im skromnego komfortu i od czasu do czasu kolorowych snów. Karta graficzna była jednak słaba, więc obraz się czasem zawieszał, a i piksele zakłócały spójność wizji. Mieli jednego synka – Windowsa, który mimo kolejnych wgrywanych wersji był nieukiem i nadawał się co najwyżej do mycia okien i monitorów w pobliskich domorosłych firmach. Jedynym zwierzątkiem w tej klitce było jajko Tamagochi. Niestety, źle karmione co chwilę zdychało i ożywało, dostarczając państwu Commandor licznych zgryzot. Próbowali co miesiąc uciulać na kredytkach kilka impulsów na powiększenie RAM, ale to co uzbierali zaraz pożerały im bieżące wydatki. Jak wiadomo internetowa łączność ze światem kosztuje. Nie chcieli uchodzić za nietowarzyskich gburów, więc wisieli na łączach w sieci po kilkanaście godzin na dobę bez wyraźnego powodu, powielając kurtuazyjne ble-ble na stronach dyskusyjnych. Czasem trafił się krótki SMS od krewniaków zza granicy...

Ta szarobura sielanka trwałaby jeszcze długo, gdyby pani Amiga nie padła łupem zalotów listonosza PC Kuriera, który pod pozorem dostarczania poczty poleconej modelował jej w Corellu piękne kwiaty, sukienki, fryzury. Amiga pod nieobecność męża zręczną myszką odwzajemniała uczucia adoratora. Spotykali się wieczorem w Photo Shopie i uprawiali Adobe Acrobat do samego rana. Amiga tłumaczyła swoje całonocne wypady otwieraniem się na nowe japońskie nano-technologie. Kiedy spłonęła w domu karta dźwiękowa i przepadła cała kolekcja MP-3, Norton nabrął podejrzeń i zaprowadził żonę do serwisu. Diagnoza brzmiała jednoznacznie: złapała wirusa „I love you”. Cały dom był narażony na niebezpieczeństwo. PC Kurier, ponieważ był lekkomyślnym trzpiotem, nie przejął się infekcją i wkrótce skończył na wysypisku. Amidze zamontowano program antywirusowy, a z taką protezą już nie mogła być atrakcyjną i ponętą dla eleganckich domokrażców. Dzięki przemysłnej szczepionce Norton mógł spać spokojnie... ■ SB

Zwycięzca
konkursu 28.02.2001

ARTUR MIKA

* * *

Płomienie zastygły
W bursztynie spokoju
Jeszcze czuć siarkę
Po spalonych gwiazdach

Wśród snów rozsypanych
Sznurem pereł
Ślepy, nagi aktor
Uczy się płakać

turniej
jednego
Wiersza

Zwycięzcy z 28.03.2001

JUSTYNA KOWALIK

* * *

czarne sutanny
tańczą na wietrze
dziewczynka bawi się
zdechłym kotem
pan Nikt nie wrócił
do swego kartonu
manekiny opuściły
wystawy sklepowe
czarne sutanny
tańczą na wietrze
matka pozbyła się
swego ciężaru
tresowane kreatury
pokazują swe wdzięki
nowy wiek rodzi
starego potwora

Tekst poetycki Justyny Kowalik (studentka WSP) w marcowym Turnieju Jednego Wiersza uzyskał I nagrodę. Utwór nie jest łatwy w odbiorze i etycezie.

Moja łacinniczka (sprzed z górą 50 laty) uczyła nas, że tłumaczenie jakiegoś zdania Cyserona, Cezara należy rozpocząć od znalezienia orzeczenia. Potem już łatwiej. W przypadku wiersza Justyny Kowalik należy interpretację zacząć od dwóch końcowych wersów: „nowy wiek rodzi/starego potwora”. Innymi słowy, najbliższe sto lat nie będzie się różniło pod względem postawy człowieka, jego moralnej kondycji i przywar, od ubiegłego stulecia. Postęp techniczny – tak, lecz etyczny – nie. Pesymistyczna wizja. (y)

Trójgłos o „Nokturnie...”

Pierwsza smuga cienia

Tadeusz Gierymski

ORYGINALNY TOMIK WIERSZY. Pamiętnik narkomanki słowa. Zmaganie z jego oporem, kolorem, sensem: estetycznym, poznawczym, logicznym. Edyta Załęcka dojrzała już do wiedzy, że szereg pięknych słów nie tworzy poezji, że trzeba je uszeregować, znaleźć odpowiedni klocek, adekwatny do treści, stylu, poetyki, w jakiej się pisze. Przykładem takiego usiłowania może być, otwierający tomik, Prolog I. Świadomość tej gnozy poetyckiej prowadzi ją do wniosku, że w wielu przypadkach przegrywa. Tylko grafoman jest ze wszystkiego zadowolony. Iskrzenie słów i zdań nie ma dla niego znaczenia. Słowa są brane tak, jak robi to krowa sięgając pyskiem do żłobu. Autorkę w tej kwestii cechuje niezwykła szczerłość i samokrytycyzm. Stawianie sobie wygórowanego, perfekcyjnego celu – wie o tym poetka – prowadzi najczęściej do rozczarowania, niedosytu, czasem zniechęcenia. Ale to konieczne.

Wertując tomiki młodych poetów, zwykle stawiam sobie pytania: Czy z widocznej na kartkach miazgi słów wyłoni się realna rzeczywistość i w jakim stopniu? Czy też będzie zasłonięta nieudaną, nieczytelną metaforą, sztukaterią, ozdobnikami, które zaciemniają sens uczuciowy i myślowy wierszy? Wtedy nie mamy do czynienia z wierszem poetyckim, lecz powykręcaną, zniekształconą, jak palce u reumatyka, konstrukcją tekstu.

U Załęckiej najbardziej wyziera obiektywny świat z pierwszej części tomiku „Partytura słów”, notatek z podróży po krajach Morza Śródziemnego. O Pałacu Dożów pisze: „...strzeżony krzykiem mew/i ręką żebraka...” W „Spacerze po Forum Romanum” – „...pięć wzgórz ugina się/pod ciężarem wielkich nazwisk...” To dobre utwory. Znajdziemy ich więcej. Np. erotyki zuchwałe w obrazie („w majestacie rozchylnych ud/w falujących rozpalonych ramionach...”), lecz jednocześnie paradoksalnie niewinne, jakby delikatnie osunięte poza margines, na dalszą odległość. Z wspomnień dzieciństwa: „...schowany na strychu warkocz dzieciństwa/porasta zielonym mchem/Królowa Śniegu zniknęła jak sopelek lo-

du/zadeptana niefrasobliwym korowodem/baśni i bajek/.../palące ciepło w pluszowym misiu/rozpacz krzyczy w stłuczonym kolanie...”

Wiersze o tematyce historycznej i sięgające do zabytków starożytności – zbyt naszpikowane imionami wybitnych postaci, miejscami decydujących bitew.

Wiersze osobisto-filozoficzne (filozofia to siostrzyca poezji) zajmują chyba pół tomiku. Tu przemawia Ego poetki o kwestiach jej wzruszeń, myśli, niezrealizowanych pragnieniach.

Niech przemówi wielogłowa cytologia:

– „pod naporem zakłęć/sentymentalnych głupców/pióro cierpi na zaburzenie/jażni”.

– „szturm na Parnas/Apollina i Muz/po nieśmiertelność/- o ironio -”.

– „służalcze myśli słowem przez usta/premia za/nową zmarszczkę”.

– „słowa po raz pierwszy/słowa po raz drugi/ słowa po raz trzeci/sprzedane”.

– „odgadnij mnie z linijki znaków/przyłap na zwątpieniu”.

– „garść srebrników za prywatność”.

– „jeżeli nie ma nic/tylko czas i byt jednego człowieka”.

– „jeżeli Gorgiasz miał rację/że nie ma nic/czy pogodzę się z tym/że tego nie ma”.

– „jeżeli zaczekam zrozumieć więcej”.

– „otoczyć troskliwą opieką/zdziwienie świata/fenomen ośmioramiennej/gwiazdki śniegu”.

– „agonia ze stekiem kamuflarzy/i metafor”.

– „toczy cię strach/polska Golgota”.

– „rozpaczliwie banalny front zdarzeń/jestem, jesteś, jesteśmy/skazani na wstyd i dobre okazje/by mieć”.

– „głupawy uśmiech za niepoczytalność/przepraszam za morderstwo”.

– „lista wielkich władców/wypchane moralnością/i prawami człowieka/ byle krok do przodu/na zdobytej pozycji”.

Myśli-hasła z pierwszych dwudziestu stron książki. Cierpkie. Chłostające bolesną satyrą polską współczesność, gdzie sklala wartości stanęła na głowie. Przez ten frontalny atak prze-wija się nuta ekspiacji podmiotu lirycznego. Dla-

czego? Zbiorowa odpowiedzialność, czy poczucie winy indywidualnej?

Brak miejsca nie pozwala mi na choćby dotknięcie wszystkich tematów zawartych w „Nokturnie ciszy”. Oryginalne, fascynujące są trzy Przypowieści oraz ostatnie wiersze tomiku, wiersze autotematyczne, mówiące o stosunku poetki do własnej twórczości i o celu uprawiania tej sztuki. Autentyczna, nieudana pokora musi towarzyszyć stale przy pisaniu dobrego wiersza poetyckiego. A może najlepszy to wiersz złożony

z ciszy i milczenia? Perfekcja doprowadzona do niemożliwości, do szaleństwa. Mam satysfakcję, że w obszarze filozofii, podobnie jak dla mnie, dla autorki największym, najistotniejszym problemem jest *istnienie*, bycie. Czym ono jest? Dlaczego? Po co?

P.S.: Kultura językowa, delikatność, celność większości komunikatów poetyckich na tle produkcji współczesnej młodzieży – powoduje u czytelnika mojego pokolenia – słodki zawrót głowy.

* * *

duszne miasto skarg i zachwyków
za odkupienie win
zmęczone życiem
klocki dla wariatów
aż nazbyt zrozumiałe

przerażenie bram z okiem
wlepionym w kwadraty okien
w rytm równo poukładanych
chodnikowych płyt
tramwaj wypchany
codziennością

niemalże w idealnym porządku
geometria ulic i gzymsów
trakt zużytych mężczyzn
i kobiet nie do zdarcia

chórki manekinów

z dziobem przy ziemi
zawiazanym krawatem
wielkie słowa za wielkie złotówki
polityczny poligon
podróż na zachód

debaty warte tyle
co pusta kieszeń
fałszywe jak uśmiech talerza
frazesy mędrców i poliglotów
sprawiedliwszych
troskliwszych
lepszyc

Sokrates by się uśmieł

bez prawa do wstydu
z wyborczym biletem
męskie chórki manekinów
w pierwszym akcie

* * *

szept ułożył się w arabeskę
gest osiągnął stan drżenia
przekroczyliśmy granicę
białej kartki papieru z wizją
mężczyzny

wątpliwości opadły w miękkość dywanu
otchłań jest ślepym okiem pożądania
jest oddechem w którym schodzą się
myśli i wiersze

uchwyć mnie teraz i taką
uciesz doznaniem i półuśmiechem
ukołysz mnie rzeką a potem
zbuduj Tadź Mahal

* * *

bądź mi fraszką
premiera bez próby

pokusą
psalmem
majową czułością

bądź mi teatrem
popsutym zegarem

zdziwieniem
modlitwą
niecną sprawką

bądź mi
wszystko jedno czym

Odgadnij mnie z linijki znaków...

Janusz Mielczarek

Miało być prościej, ale wiatr niespodzianki zasypał zaplanowaną wcześniej konstrukcję jasnymi kształtami piasku. W jej miejscu pojawiła się wędrująca wydma, której faliste uźbrowania co rusz zmieniają swój rysunek i położenie, a wszystko – oczywiście – przez kobietę. Do tego – kobietę piszącą wiersze.

Edyta Załęcka, bo o niej tu mowa, należy do tych niewielu osób, które niedostrzegalnie, ale bardzo skutecznie, z ostrożnych gestów, spojrzeń i oszczędnych słów potrafią utkać wokół siebie ten szczególny rodzaj klimatu, aury, którego poszukuje się w czas przegranych, kłamstwa, napastliwości. A choć jest przy tym osobą silnie osadzoną w realiach życia, to ten szczególny stan ducha i wszystko czym obdarza innych, powodują że stać ją także na przygodę intelektualną wysokiego lotu.

Piszę te słowa w dzień po lekturze drugiego z kolei tomiku wierszy Edyty, p.t. „Nokturn ciszy”, który właśnie dotarł z drukarni. Poprzedni – „Dolina niepokoju” ukazał się w roku 1993.

Zbiór ów to osiemdziesiąt trzy wiersze, z których wiele – w co wierzę – będzie zaufanymi „przyjaciółmi podróży przez codzienność” dla tych Wspaniałych Czytelników, o których z taką czułością pisał Stanisław Grochowiak:

„Niedojeźdzeni, Niedośpieni, Niedokochani...”

„Nokturn ciszy”, przemyślany i klarowny w kompozycji, jest mi najbliższy w tych fragmentach, w których Autorka swoim czułym instrumentem wyobraźni dotyka spraw osobistych, a jednocześnie uniwersalnych dla nas wszystkich. Robi to w sposób niezwykle szczerzy i prosty, żeby nie rzec – lapidarny, budzący wzruszenie, refleksję, stając się w grze wspólnych odniesień kimś bliskim, do kogo śpieszno, by udać się za tę ucztę z podzięką. I to właśnie – w mojej skromnej ocenie – są najbardziej świetliste kryształki wędrującej wydmy, o której było na początku, a która na szczęście zasypała skutecznie wcześniej zaplanowany schemat tego tekstu.

Poza „kalendariem uczuć” Edyta stawia także inne kwestie i pytania o problemy egzystencjalne naszego powikłanego bytu przełomu stuleci:

*„czy zdążę odróżnić szydercę od łobuza
czy uporam się z wszechobecną głupotą...”*

*nie uporam się
nie zdążę
nie rozumiem*

i dobrze mi tak”

Jednak potwierdzenie własnej porażki nie zwalnia jej, jako humanistki, od dalszego szperania w antykwariacie idei, poszukiwania odpowiedzi w kolejnych wierszach, aby ostatecznie powrócić do siebie i napisać:

*„błache sprawy
od ust do ust
to też ja...”*

Podążając śladem Horacego, cytowanego przez Autorkę, jako motto wiersza „pojmowanie ciszy”: „...słowo gdy zbyt ciche wnet z duszy odpływa...” sędzę, że z niektórych wierszy słowa odpłyną. Odpłyną te pobrzmiwające gdzieś sztucznie, jak mi się wydaje, wbijające klin w czystą i przekonującą budowę wiersza. To jednak tylko mały kleks na stronicach zapisanych wzruszającą i ważną treścią.

Czasu było za mało, aby skupić się, wczepić w różne wątki wielu jeszcze utworów z omawianego tomiku. Ale to czekająca w ten wiosenny czas porcja nowych niespodzianek, a także „odgadywanie Autorki z linijki znaków”, na tyle jednak, aby nieodgadnioną pozostała.

Z tej skromnej książki dowiedziałem się także, że w mojej loży ulubionych autorów gościł jeszcze jeden „przyjaciel podróży”, tym bliższy, że oprócz tekstu literackiego darzący czasami podaniem ręki, przyjaznym słowem i dobrym życzeniem. Bo w wierszach tych nasłuchiwał będę nut rezonansu w momentach refleksji:

*„jak gdyby nigdy nic
dzieją się rzeczy ostateczne...”*

przegranych:

*„rzucamy monetę
orzeł – kocha
reszka – nie kocha...”*

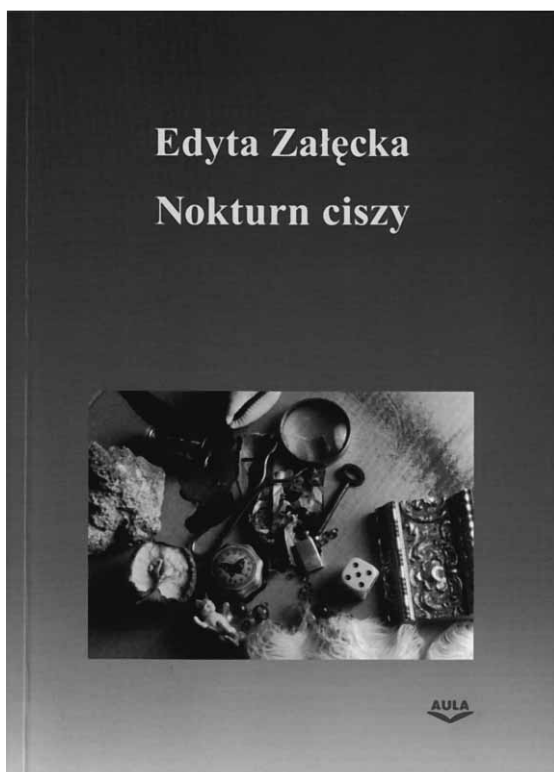
i euforii:

„jestem nie do przewidzenia...”

Wracał będę zwłaszcza do tych brzmących najprawdziej, skreślonych niczym kubistyczny rysunek – jedną, zdecydowaną kreską, najprostszymi, a więc najtrudniejszymi do odkrycia w sobie, a przy tym zaskakującymi takim przekonaniem i urokiem, jak „Aria na strunie G” Jana Sebastiana. ■

Nokturn ciszy – czyste brzmienie słów

Krystian Piwowarski



Edyta Załęcka
Nokturn ciszy

Edyta Załęcka
„Nokturn ciszy”
Wydawnictwo „Aula”,
Podkowa Leśna 2001.

Książkę można zamówić
w księgarni internetowej
wydawnictwa:
www.aula.home.pl

Już sama okładka zapowiada różnorodność. Na zdjęciu Piotra Dłubaka widać przedmioty, do których przynależą rozmaite symbole, mity, archetypy, legendy, baśnie itd. Przedmioty owe ułożone są w pewnym znaczeniowo istotnym nagromadzeniu i poetyckim skupieniu, sublimacji.

W tomie Edyty Załęckiej „Nokturn ciszy” jest blisko sto wierszy o doprawdy bardzo różnej tematyce i różnym temperamencie, ale, podobnie jak oglądając przedmioty na

okładce, tak czytając wiersze nie miałem wrażenia emocjonalnego czy intelektualnego chaosu. Zapewne dlatego, że tom został zbudowany dzięki myśli prowadzonej bardzo konsekwentnie od pierwszego do ostatniego wiersza.

Tom otwiera „prolog I”: *...a wiersze schodzą/na manowce/chore błahostką/...*, „zaś zamyka poematowanie ciszy”: *słowo pierwsze nie będzie wymowne/jak pierwszy stopień wtajemniczenia/słowo drugie będzie niepotrzebne/jak blask odległego Syriusza albo Wenus/słowo trzecie zburzyć melodią/pewność siebie zgasić ciszą.*

Gdyby dodać do tego jeszcze dwa pozostałe prologi: II i III, w których autorka podnosi kwestie warsztatowe, to znajduję w tej poezji coś, co nazwałbym regułą rządzącą pisarstwem Edyty Załęckiej z mocą równą prawdzie oczywistej, iż mors ultima ratio. Otóż regułą tej poezji jest: słowo racją ostateczną. Do tego stopnia, że poetka we wspomnianym, zamykającym tom

„pojmowaniu ciszy” odbiera swoim własnym słowem wszelką rację, uznając je za nazbyt nieudolne.

To budzi mój szacunek, bo przecież mamy do czynienia z twórczością wysokiej próby, z dużym talentem poetyckim. Czytam wiersze, które były długo, starannie obtłukiwane z niepotrzebnego kamienia, rzadko w ekstazie, częściej w udręce zwątpienia, braku choćby cienia pobłażania dla zbyt słabych uderzeń, dla kompromisu. I dlatego są one tak lotne, choć materialne, istotne, choć nieważkie, gęste, choć ażurowe, dlatego, choć mają ciężar alabastru, mają również jego świetlistą przejrzystość.

Tym to istotniejsze, że mamy do czynienia z poezją erudycyjną, kulturową, odnoszącą się, wielowymiarową, przestrzenną w rozumieniu historycznego czasu i krajobrazu, a takie wiersze mają zupełnie odśrodkową tendencję do grzęźnięcia w zakalec niepotrzebnych słów, w kluchę gadaniny o wszystkim i o niczym, w pusty popis akademickiej wiedzy.

Cechą charakterystyczną wierszy z tomu „Nokturn ciszy” jest dyscyplina czysto intelektualna, obok dyscypliny warsztatowej. Zza tej poezji wyłania się postać autorki o wielkim talencie, w który ona sama wątpi i wielkiej pokorze wobec własnych twórczych ułomności, w które, dla odmiany, nie wątpi. Jeżeli Załęcka podchodzi do tworzywa poetyckiego z lękiem, niepewnością, to, paradoksalnie, może być pewna wartości kształtu ostatecznego, albowiem nic tak dobrze nie czyni dziełu, jak brak wiary artysty we własny talent. To ważne w kraju, w którym talenty kłeci się z gazet i bezczelności.

W wierszach Edyty Załęckiej znajduję znakomite, właściwe wymieszanie pierwiastków z tradycji przynależnych kobiecie – uczuciowości i mężczyźnie – intelekt. Pewnie dlatego sprawiają na mnie wrażenie dopełnionych, dopowiedzianych, domyślanych, a przy tym intelektualnie niespokojnych. Cenię kobiety, które potrafią zamienić miłość na obustronnie korzystny związek partnerski bez zobowiązań.

Książka jest edytorsko nienaganna, o skromnej, ale jakże fascynująco urokliwej szacie. Przedmioty na zdjęciu Piotra Dłubaka zapowiadają niejedno. Wiersze spełniają te obietnice.

Warto wspomnieć, że „Nokturn ciszy” został częściowo sfinansowany przez Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego – miejską agendę pomagającą w realizacji tego rodzaju ambitnych przedsięwzięć. Jak widać skutecznie. To cieszy. ■

MALARZ PISARZEM

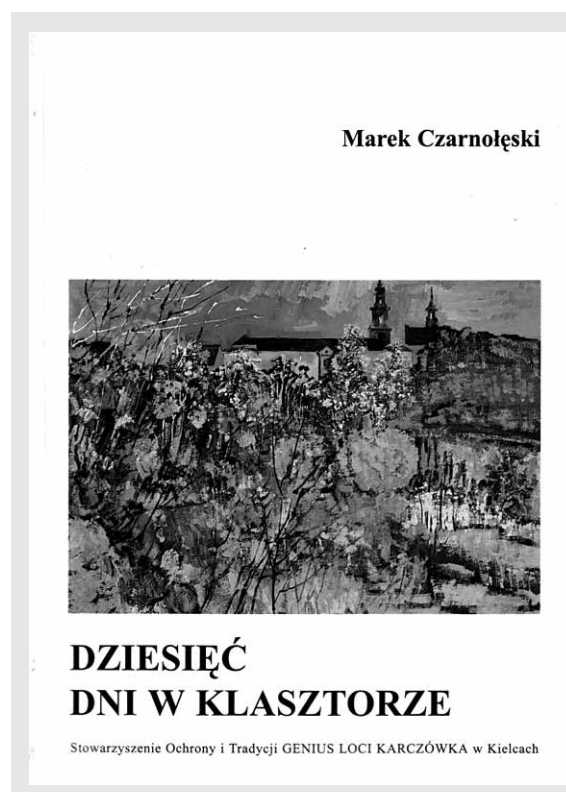
Sławomir Burszewski

Zupełnie przypadkowo w moje ręce trafiła książka częstochowskiego plastyka Marka Czarnołęskiego pt. „Dziesięć dni w klasztorze”. Przypadkowo, bo nie widziałem jej nigdzie w sprzedaży. Prawdopodobnie jest to kolejna książka-widmo, jakże charakterystyczna dla dzisiejszych czasów. Wydana własnym sumptem, rozdawana przez autora, nieznaną szerszemu kręgowi odbiorców. Ponieważ rzadko się zdarza, żeby malarz jeszcze pisał, postanowiłem poświęcić jej kilka słów jako pewnej ciekawostce. Na wstępie zaznaczam, że nie zawiera ona prozy wysokich lotów, można by posądzić autora o grafomanię, naiwność literacką i przesadzoną miłość własną, braki warsztatowe itd. Nie jest to moim zamiarem. W tym specyficznym pamiętniku Czarnołęski w archaiczny niemal sposób kreuje narratorkę na wzór sarmacki.

Fabula jest prosta. Malarz-pejzażysta zostaje zaproszony na plener do Kielc. Na miejscu okazuje się, że przez dziesięć dni musi mieszkać w klasztorze pallotyń w Górach Świętokrzyskich, poddając się surowym regułom bractwa. Korzysta z ich gościnności psiocząc na kler i role religii w Polsce niczym rasowy deista z czasów Ludwika XVI. Na tym „zesłaniu” poświęca się odkrywaniu pięknej przyrody (o której już tyle Żeromski napisał) i pracy twórczej (szkice na załączonym obrazku). Niekiedy wyjeżdża do miasta do muzeum lub na wernisaż spotkać się z serdecznymi znajomymi. Wyraźnie czuje się tutaj lepiej niż w rodzinnym mieście, gdzie czeka na niego wiecznie niezadowolona żona. Podczas wycieczek napotyka różnych ludzi, ale pod koniec rozpadają się jego sandały. Kiedy dostaje 100 zł honorarium, może wrócić do domu, kupić dziecku prezent – wszystko się kończy happy endem. Oczywiście samotne wieczory w zamkniętym klasztorze skłaniają autora do ontologicznych rozważań i postu – może słuchać jedynie radia i ...pisać. Treść jest błaha do kwadratu i równie dobrze książka może się nazywać „Moja wakacyjna przygoda w IVa”. Śmiem nawet twierdzić, że pasuje do teorii banalizmu ze swoim brakiem ważnych wydarzeń, miałością

przeżyć, perspektywą różowych okularów. Zastanawiam się też po co pan Marek napisał i wydał tę pozycję. By dać dowód swojej przedsiębiorczości? Na pamiątkę fajnego pleneru? By się odwdziżyć sponsorom imprezy? Po co, pytam? Mógł to wydać dla kaprysu.

Z drugiej strony powinienem powiedzieć, co mi się podoba w tych dziennikach. Przede wszystkim szczerość, zmysłowość, brak silenia się na coś więcej, afirmacja przeciętności, zgoda na życie, brak deformacji artystycznych, które powodują, że dzisiejsze książki są często trudne lub nieczytelne. Zaimponowało mi zamknięcie się w klasztorze – to musi niesamowicie działać na wyobraźnię! I jakże jest na czasie! Czytając, wiem że pisał to Marek i widzę go „jako żywo”. Czasami autor wykorzystuje karty książki do rozprawy się ze swoimi przeciwnikami, do dogadania się z przyjaciółmi czy rodziną. Takie swawolne potraktowanie materiału kojarzy mi się z „Żywotem człowieka poczciwego” Reja albo „Pamiętnikami Paska”. Skrajny subiektywizm Marka widzącego świat przez pryzmat koloryzmu niewielu osobom przypada do gustu (przynajmniej w Częstochowie) i tym większy jego heroizm, upór i samozaparcie w promowaniu tego dawno przebrzmiałego kierunku w niezainteresowanym otoczeniu. Wreszcie książka mnie rozbawiła. I jeżeli o to chodziło autorowi, to mu się udało. Zastanawiam się: jak wyglądały by dzienniki innych znanych mi malarzy. Też tak komicznie? ■



Marek Czarnołęski,
„Dziesięć dni w klasztorze”,
Wydawnictwo
Stowarzyszenia Ochrony
i Tradycji
GENIUS LOCI KARCZÓWKA,
Kielce 2000.

O sobie

Ludmiła Marjańska

Czy to możliwe, żeby już tyle lat było za mną? Udało mi się dożyć roku dwutysięcznego? Tak, urodziłam się 26 grudnia, na pięć dni przed końcem roku 1923, w Częstochowie. Dawniej nie często zastanawiałam się nad mijającym czasem, żyłam bardzo szybko, dopiero teraz

zaczynam spoglądać wstecz i zdawać sobie sprawę, jaki wpływ wywarło na mnie miejsce, w którym dorastałam. Przeszłość powraca do nas w dziwny sposób, naraz otwiera się jakieś okienko, pojawia się w nim zapomniana twarz, fragment krajobrazu, melodia.

Z dzieciństwa pamiętam przede wszystkim szerokie Aleje Najświętszej Marii Panny, do dziś zresztą niemal niezmienione. Zamiast ogromnych, rozłożystych kasztanów rosną w nich teraz młode drzewka. Alejami, pro-

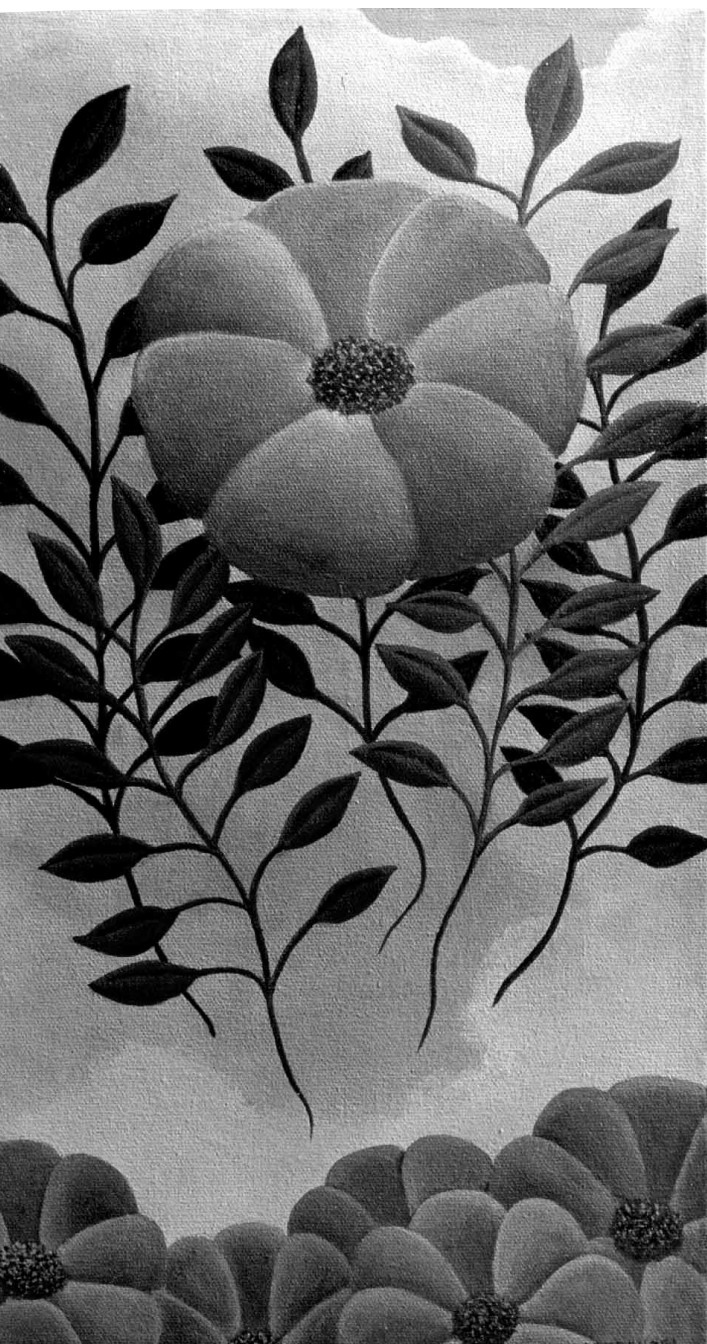
wadzącymi do klasztoru na Jasną Górę, ciągnęły niezliczone pielgrzymki, czyli jak się wtedy mówiło – kompanie: z feretronami, obrazami, chorągwiemi. Z balkonu czy z okna naszego mieszkania w Trzeciej Alei patrzyłam na tych zadziwiających, często bosych, zmęczonych ludzi, niekiedy posuwających się na klęczkach i śpiewających maryjne pieśni. Utkwił mi na zawsze w uszach zawodzący refren: *Ave, ave, ave Maryja, częstochowska Panno Maryjo*.

Mieszkanie rodziców, na pierwszym piętrze w Alei pod numerem 55, miało dwa wejścia: jedno z bramy – frontowe prowadziło do kancelarii adwokackiej ojca, a przez długi korytarz do innych pokoi. Drugim wejściem, od kuchni, wymykałam się na obszerne podwórze, gdzie z synem dozorczy, zwanego w owych latach stróżem, i gromadą innych dzieci wspaniale bawiliśmy się pod wielkim kasztanowcem. Zimą lubiłam jeździć na rowerku dokoła stołu w jadalni, albo siedzieć cicho pod tymże stołem i słuchać li-

cytacji grających w brydża znajomych mamy. Miałam spokojne, dobre dzieciństwo.

Matka, urodzona pod koniec dziewiętnastego stulecia, ukończyła gimnazjum z językiem wykładowym niemieckim, pochodziła bowiem z Chełmży pod Toruniem, a więc z zaboru pruskiego. Młodo wyszła za męża i, jak większość kobiet ze środowiska inteligencji, nigdy nie pracowała. Była mądra i ocytana, często powtarzała, że kobieta także powinna mieć wyższe wykształcenie. Zwłaszcza w czasie wojny, kiedy ojciec nie mógł już wykonywać zawodu i na skutek represji Niemców, po słynnym w Częstochowie „krwawym poniedziałku” we wrześniu 1939 roku, stracił także zdrowie, a do domu wkradła się bieda, wciąż powtarzała mi, że powinnam mieć swój zawód i stać się niezależna. Na razie, mając niecałe siedemnaście lat, przerabiałam czwartą klasę gimnazjum na tajnych kompletach. Niemcy już w listopadzie zamknęły wszystkie szkoły wyższe, uniemożliwiając Polakom naukę. Ażeby zarobić i pomóc rodzicom, pracowałam jednocześnie jako ekspedientka w niemieckim sklepie z radiami i płytami („Heinrich u. Otto” – Radioakustik), gdzie potajemnie zaopatrywaliśmy także znajomych Polaków w niedozwolone artykuły, bo radia, których Niemcy nie zarekwirowali, były ukrywane na strychach i wykorzystywane do nasłuchu. W takiej właśnie sprawie odwiedziła sklep pewna pani, żona przedwojennego pułkownika, i zapytała wprost, czy nie chciałabym należeć do podziemnej organizacji.

Oczywiście chciałam. Była to Narodowa Organizacja Wojskowa, wcielona w roku 1942 do Armii Krajowej. Wraz z koleżankami, które udało się także zwerbować, przeszłam kurs pielęgniarstwa i otrzymałam dowództwo plutonu sanitariuszek. Byłyśmy także szkolone w obchodzeniu się z bronią. Służący do tego celu pistolet maszynowy, tzw. peemka, był ukrywany przez pewien czas w kaflowym piecu w sypialni rodziców. Później, już



Obraz Barbary Schrenzel

w AK, byłam kimś w rodzaju sekretarki oraz gońcem u kapitana Józefa Kraśniewskiego, chorego na gruźlicę (zmarł w roku 1944). Przewoziłam rozkazy i czasem broń do oddziałów w okolicach Częstochowy. Wszystko to było tak samo naturalne, jak to, że często byliśmy głodne i uczyliśmy się nadal po domach z pomocą naszych nauczycieli gimnazjalnych, aż do konspiracyjnej matury w lecie roku 1942. Zaświadczenie o zaliczeniu egzaminu maturalnego nosiło datę maja 1939, co nas bardzo bawiło, bo któż zdaje maturę w wieku lat piętnastu?

Skoro mowa o okresie wojennym, muszę tu wrócić do opowieści o moich rodzicach. Jak już wspomniałam, matka pochodziła z Pomorza, z zaboru pruskiego. Ojciec zaś urodził się w Częstochowie, a więc pod zaborem rosyjskim. Po ukończeniu gimnazjum rosyjskiego, studiował prawo w Moskwie i Petersburgu. Poznali się przypadkowo, kiedy mama z moją późniejszą, a niezwykle religijną babcią, przyjechała z pielgrzymką na Jasną Górę. Opisałam tę historię, jak również moją okupacyjną młodość w dwóch książkach dla młodzieży: „Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny” i „Życie na własność”. Dla mnie, urodzonej już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, pojęcie zaborów było niejasne i zupełnie nie mogłam pojąć, dlaczego rodzice spierają się o wyższość kultury niemieckiej nad rosyjską, czy też odwrotnie. Druga, także w ich życiu, wojna światowa pogodziła ich, spory ustały: obydwie wrogie armie dały się Polakom we znaki. Matka nauczyła mnie jednak podstaw języka niemieckiego, a ojciec wpoił we mnie zamiłowanie do poezji rosyjskiej, chociaż tego języka – może z powodu cyrylicy – nigdy się nie nauczyłam. No i dzięki poematowi Puszkina mam na imię Ludmiła. Dodam jeszcze, że niejaki pojęcie o różnicach między historycznymi zaborami dały mi wakacje spędzane u babci nad Jeziorem Chełmżyńskim. Tamtejsze łobuziaki, czyli tzw. „lujki”,

biegały za mną wołając „Kongresowa, kongresowa!” Chyba sami nie znali pochodzenia tego „wyzwiska”, którego pochodzenie historyczne wyjaśniała mi babcia.

Częstochowa nie była miastem jednolitym i nie kończyła się na Alejach i Jasnej Górze. Na przeciwległym, południowym krańcu była i nadal jest dzielnica zakładów przemysłowych oraz fabryk, z widniejącym z oddali kominem huty Raków. Natomiast u wylotu Pierwszej Alei, na Starym Rynku i za kościołem św. Zygmunta, zaczynała się dzielnica żydowska, pełna nędzy i zarazem, zwłaszcza dla dziecka, pełna egzotyki: kobiety w perukach, mężczyźni z pejsami, brodaci, w jarmułkach, mówiący dziwnym, szwargotliwym językiem. Niektórych widywałam czasem w poczekalni czy kancelarii ojca. Podejmował się prowadzenia spraw zarówno ubogich Żydów jak i robotników bezpłatnie, zapewne z urzędu. Pamiętam, że jeden z tych klientów przynosił co roku przygotowaną na żydowskie święto macę. Znacznie później zrozumiałam, że nie tylko kryzys, jaki zapanował w latach trzydziestych, ale i taka postawa mojego ojca powodowała zaistnienie w domu trudności finansowe.

Spółeczność żydowska dzieliła się – jak każda – na biednych i bogatych. Mogłam się o tym przekonać będąc uczennicą państwowego gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, do którego zdałam egzamin w roku 1936. W naszej klasie były dwie koleżanki Żydówki, o czym wiedziałyśmy dlatego, że obydwie wychodziły z klasy przed lekcją religii, prowadzoną przez księdza Karlika. Małgosia pochodziła z inteligencji, uczyła się dobrze i była jasną, spokojną blondynką. Druga, o czarnych włosach i semickich rysach, miała na imię Zysla. Jej odmienność była wyraźna, a że w dodatku nie grzeszyła bystrością, klasa trochę się z niej podśmiewała. Te dwie uczennice nie utrzymywały ze sobą żadnego kontaktu. Podział był wyraźny: bogaci – biedni. Uczennice pochodzące z małżeństw mieszanych przeważnie

były katoliczkami i niczym się nie wyróżniały, dopiero w czasie okupacji część z nich zniknęła z miasta, co wówczas – po wrześniowej „wędrówce ludów” na wschód – nikogo nie dziwiło. Ani w dzieciństwie, ani w młodości nie zetknęłam się z antysemityzmem.

Sama wiele zawdzięczam naszej sąsiadce z drugiego piętra domu przy ulicy Kilińskiego 3, do którego rodzice przeprowadzili się na kilka lat przed wojną. Pani Róża Geisler mieszkała tam z córkami, Niutą i Hałą, oraz zięciem Benkiem. Ona właśnie dawała mi bezpłatne lekcje angielskiego i to dzięki niej przełożyłam pierwszy angielski wiersz zaczynający się od słów „Those evening bells”. Kiedy Niemcy nakazali Żydom przeprowadzkę do getta – obejmowało ono dawną dzielnicę żydowską i całą Pierwszą Aleję – pani Róża została u nas częścią rzeczy, które stopniowo sprzedawane umożliwiły przekazywanie jej i rodzinie pomocy. Dopóki nie zamknięto getta i nie zabroniono wstępu do niego, chodziłam jeszcze na lekcje do pani Róży. Siadywałyśmy za firanką przydzielonego im jednego pokoju we wspólnym z kilkoma rodzinami mieszkaniu. W roku 1942 getto zostało zlikwidowane. Pani Róża zginęła w Treblince, zięcia zastrzelono jeszcze w getcie, ale córki, pracujące w niemieckiej fabryce na Rakowie, ocalały. Mieliśmy z nimi kontakt niemal do końca okupacji.

To mój ojciec, Ludwik Mężnicki, zaraził mnie bakcylem poezji. W jego gabinecie znajdowały się oszklone szafy pełne książek. Lubiłam tam zaglądać pod nieobecność rodziców, wyciągać jak najgrubsze księgi czy atlasy i leżąc na podłodze poznawać tajemnice biblioteki, a także... tajemnice ludzkiego ciała. Pamiętam atlas anatomiczny, gdzie podnosząc pierwszą ilustrację z wizerunkiem nagiego człowieka, można było zobaczyć całe jego wnętrze: warstwę podskórną, a potem kolejno wszystkie kości, mięśnie, ścięgna, naczynia krwionośne i narządy wewnętrzne.

Było to dla dziecka zadziwiające odkrycie. Niezależnie od takiego rodzaju „samokształcenia”, poznawałam inne lektury. Wcześniej zaczęłam czytać, a na każde imieniny i pod choinkę dostawałam książki: baśnie Andersena i braci Grimm, a potem już tomiki wierszy: Staffa, Leśmiana, skamandrytów. Wiele z tych tomików, wydanych nakładem Jakuba Martkowicza, mam do tej pory w tej samej, przywiezionej z częstochowskiego mieszkania bibliotece.

Dość wcześnie zaczęłam pisać, oczywiście nieudolnie naśladowując skamandrytów. Delikatna Maria Pawlikowska, patetyczny Lechoń, no i oczywiście śpiewny Tuwim – rymotwórca, któremu wiele lat później posłałam swoje wierszowane próbki, i którego miałam szczęście poznać osobiście na dwa tygodnie przed jego nagłą śmiercią w grudniu 1953 roku. Ojciec był moim pierwszym krytykiem, stronnikiem, rzecz jasna, dumnym z moich rymowanych prób.

Ja jednak nie traktowałam pisania poważnie. W jednym z dużo późniejszych wierszy napisałam: *życie zawsze było ważniejsze od wierszy.*

A życie pędziło naprzód. Po maturze zapisałam się do grona studiujących na Akademii Nauk Politycznych, działającej oczywiście w konspiracji. W Częstochowie zajmował się kontaktami z tą uczelnią Jerzy Bogolowicz, mój rówieśnik, również syn adwokata, uczeń gimnazjum im. Sienkiewicza. Dzięki tym kontaktom z Warszawą i profesorami mogliśmy korzystać ze skryptów i przygotowywać się do egzaminów. Jeździliśmy na nie do War-

szawy i odwiedzali kolejnych profesorów w ich prywatnych mieszkaniach. Zaliczyłam chyba dziesięć egzaminów m.in. u prof. Jerzego Lotha, prof. Henryka Mościckiego (historia Polski), czy prof. Stanisława Srokowskiego (geografia gospodarcza). Nęciły mnie przyszłe dyplomatyczne podróże po świecie, ale nic z tego nie wyszło. Kiedy w roku 1946 poszłam w Warszawie na róg ul. Reja i Wawelskiej, żeby z zaświadczeniami ze zdanych egzaminów zapisać się do Wyższej Szkoły Dyplomatyczno-Konsularnej, nie chciało mi ich uznać. A potem ktoś mi wybił dyplomację z głowy, pytając ze zdziwieniem: „W tym systemie politycznym chcesz być dyplomatką?”

Nie od razu dotarło do nas, co się dzieje. Było przecież po wojnie, był Stanisław Mikołajczyk, trzeba było odbudować Warszawę, żyliśmy w euforii, chcieliśmy coś robić. Młodość była młodością. W lipcu 1945 roku, tuż po wojnie, wyszłam za mąż. I tak, zamiast „dyplomatką” zostałam „matką bez dyplomu”.

Janusza Marjańskiego poznałam w maju 1937 roku na zabawie harcerskiej w parku. Oboje należeliśmy do harcerstwa i byliśmy w harcerskich mundurach. Tak jak to było w zwyczaju, zwracaliśmy się do siebie per „koleżanko” i „kolego”, a ponieważ regulamin szkolny zabraniał „chodzenia z chłopcami”, nasze spotkania nie były częste. Janusz był uczniem gimnazjum im. Sienkiewicza, mieszczącego się w Trzeciej Alei. Moje gimnazjum, żeńskie, im. Słowackiego mieściło się, i mieści dotąd, przy ul. Kościuszki 8. Każdego ranka, przed ósmą, spotykałam Janusza „pod zegarem” na rogu II Alei i ul. Kilińskiego. Duży, wiszący nad sklepem zegar był reklamą zakładu zegarmistrzowskiego Glicnera. Kolega kłaniał mi się z uśmiechem, zdejmując granatową czapkę z daszkiem, a mnie poprawiało to humor na cały dzień. Nawet na myśl mi wtedy nie przyszło, że zostanie moim mężem i przeżyjemy w małżeństwie 54 lata. Jego życiorys jest jednym z typowych życiorysów ówczesnej

młodzieży: jako osiemnastoletni ochotnik bronił Warszawy we wrześniu 39 roku, dostał się do niemieckiej niewoli (Stalag Xa), uciekł, schwytany w pociągu za Poznaniem, przesiedział pół roku w obozie karnym, odesłany na roboty rolne, wrócił pod koniec roku 1941 i poszedł do partyzantki. Po tzw. wyzwoleniu, w lutym 1945 roku, wraz z ojcem i starszym bratem uwięziony za przynależność do AK. „Gryps z łódzkiego więzienia”, o którym wspominam w wierszu „Światło” dotyczy właśnie tego faktu. Po zwolnieniu z więzienia, Janusz przyjechał do Częstochowy i tutaj, w kościele św. Barbary wzięliśmy ślub. Niestety, w dwa tygodnie później umarła moja matka. Po pewnym czasie, wraz z moim ojcem, zamieszkaliśmy w Warszawie, gdzie Janusz studiował architekturę. W roku 1947 urodziła nam się córka Maria, a w roku 1950 syn Maciej. W tym samym roku mąż skończył studia i zaczął pracę w biurze architektonicznym. Ja pracowałam już w handlu zagranicznym, początkowo jako maszynistka – wyjątkowo nieudolna! – a potem korespondentka w językach niemieckim i angielskim.

Niezależnie od pracy, zaczęłam dla przyjemności tłumaczyć wiersze. Odważyłam się zanieść je do Państwowego Instytutu Wydawniczego, bez żadnego polecenia. W redakcji literatury angielskiej był wówczas Włodzimierz Lewik, który okazał się niezwykle życzliwy. Traf chciał, że właśnie wraz z profesorem Stanisławem Kryńskim przygotowywał do druku wiersze Roberta Burnsa, a ja przyniosłam kilka przekładów jego wierszy. I tak w roku 1956 zadebiutowałam jako tłumaczka czterema przekładami w tomiku „Z wierszy szkockich”, wydanym w pięknej serii tzw. „celofanowej”. Miałam wtedy wiele odwagi, żeby zacząć od tak trudnej poezji, wkrótce jednak zaczęłam sobie zdawać sprawę, że powinnam pogłębić znajomość angielskiego, jeśli mam tłumaczyć lepiej. Zachęcona przez profesora Kryńskiego odważnie więc

poszłam na egzaminy wstępne, nie wierząc w gruncie rzeczy, że się dostanę na Uniwersytet. Miałam już przecież 34 lata, upłynęło wiele czasu od matury, w dodatku nie miałam pojęcia o tak obowiązującym do niedawna przedmiocie, jak marksizm i leninizm. Ale czym ryzykowałam? Ku swojemu zaskoczeniu i lekkiemu przerażeniu – jak sobie dam radę, zostałaś studentką anglistyki!

Problem polegał na tym, że niedawno zmieniłam pracę, niemal równie nieoczekiwanie zostałam przyjęta do Działu Literackiego Polskiego Radia jako redaktor audycji poetyckich. Trudno było pogodzić pracę ze studiami, nie mówiąc już o problemach domowych, a jednak jakoś się udało. Wydatnie pomagał mi w tym mój mąż, zajmując się dziećmi głównie w soboty i niedziele, które ja poświęcałam na naukę, a także w okresie egzaminów. Po trzech latach znowu niespodzianka: stypendium amerykańskiego uniwersytetu stanu Washington w Seattle. We wrześniu 1960 roku płakałam, żegnając na lotnisku rodzinę. Leciłam przecież na koniec świata! Latem roku 1961 radość z powrotu – do Polski, do domu. W teczce zaś praca magisterska o współczesnej poezji amerykańskiej i odkrycie – tom wierszy Emily Dickinson. A potem rozczarowanie: moje „odkrycie” nie było odkryciem: Kazimiera Iłakowiczówna właśnie kończyła pracę nad jej przekładami. Tomik, „w celofanie”, wyszedł w roku 1965, a ja tłumaczyłam sobie wiersze Emily do szuflady. Całymi latami. W roku 1998 część tych przekładów ukazała się w zbiorze „I jestem różą” nakładem wydawnictwa Twój Styl. W Emily urzekło mnie to, że w swoim bardzo skromnym, pustelnicznym prawie życiu potrafiła tyle zmieścić, że miała tak bogatą wyobraźnię. Ja sama wiele inspiracji poetyckich czerpię ze swoich podróży, z rzeczy zewnętrznych, ona brała z siebie. Być może moja wyprawa w jej świat wynikała z zazdrości, z chęci zagłębienia się w jej świat, wzbogacenia siebie. Elizabeth Berret Browning była zupełnie inna,

ale nie mniej dziwna. Miała bardzo ciekawe życie. Uczona, czytana, znała grekę i łacinę, w wieku lat czterdziestu poślubiła, z wielkiej miłości, Roberta Browninga i to uczyniło z niej wspaniałą poetkę. Tłumaczyłam utwory obojga, a także Edwina Arlingtona Robinsona, Williama Butlera Yeatsa, Mariannę Moore. Ta ostatnia poetka nie była mi bliska. Przeciwnie, chciałam ją przez tłumaczenie pokonać. W moich początkach jako tłumaczki pomagał mi bardzo Seweryn Pollak, niejako uczył mnie sztuki przekładu.

Właściwie uważałam się bardziej za tłumaczkę poezji, niż za poetkę. Nie lubię w ogóle słowa „poetka”, jakby to mogło jednoznacznie mnie określać. Debiutowałam późno. Najpierw w roku 1953 w „Twórczości”, gdzie redaktorem był wtedy znakomity krytyk i poeta, Zbigniew Bieńkowski. Nie był zachwycony moimi próbami poetyckimi, ale jeden wiersz przyjął: był „na czasie”, napisany niemal na zamówienie, w socrealistycznym stylu, wiersze miały być „związane z życiem”, czyli z polityką. Mój wiersz „Ethel” związany był nie tyle z życiem, co ze śmiercią: w Stanach stracono właśnie na krześle elektrycznym małżeństwo Rosenbergów. Gazety były pełne szczegółów. Przemówił do mnie fakt, że Rosenbergowie zostawiali dwoje dzieci. Myślałam o uczuciach tej matki. W ten sposób zadebiutowałam w „Twórczości” w okresie stalinizmu. Niewiele mi to pomogło: kiedy później zaniósłm jakieś wiersze do „Nowej Kultury” odrzuciła je Anna Kamieńska, ówczesna redaktorka działu poezji. Mimo to – a może właśnie dlatego – po pewnym czasie zaprzyjaźniłyśmy się.

Choć tylko o trzy lata starsza ode mnie, Anna była dla mnie autorytetem. Uważałam, że jest o wiele mądrzejsza i głębsza od mnie. Mieszkałyśmy w tej samej dzielnicy, miałyśmy dzieci w tym samym wieku, nasi synowie zdawali egzamin do tego samego liceum. Po śmierci męża Anny, Jana Śpiewaka, widywałyśmy się częściej, później spotykałyśmy się niemal co niedzielę na mszy w kaplicy księży

Orionistów na Barskiej. Głęboko przeżyłam jej nieoczekiwaną śmierć. Umarła dosłownie na moich rękach, kiedy na prośbę jej syna, Janka, odwiedziłam ją w szpitalu na Barskiej. Rozległy zawał był prawdopodobnie skutkiem katastrofy w Czarnobyliu. Dla mnie dzień śmierci Anny, 10 maja 1986 roku, stał się jakby cezura: uświadomiłam sobie, jak wiele jej zawdzięczam, zaczęłam też inaczej rozumieć poezję.

**Wypowiadając
w wierszu siebie, nie
myślę o jego odbiorze
przez czytelnika.
A jednak to człowiek
jest dla mnie najważ-
niejszy. Istotnie,
ludzie są mi potrzeb-
ni, jestem ich
zachłannie ciekawa.
Napisałam nawet:
bez ludzi nie istnieję,
jestem pustym
naczyniem.**

Być może także przekład wiersza jest dla mnie głównie próbą poznania innej istoty, potrzebą poznawania jej i obcowania z nią. Jaka była Emily Dickinson, Elizabeth Browning, Marianne Moore? Różnorodność ludzkich charakterów, rozmaitość losów. Podobno nazywa się to empatią. Tak, lubię ludzi, chciałabym ich przekonać, że nie wolno poddawać się starości, rozpacz, uczuciu beznadziejności. Życie jest darem. I miłość jest darem.

Czerpiemy siłę z nieustannego odradzania się natury. Czerpiemy siłę z wiary, że nad światem widzialnym jest To, co niewidzialne. I Stwórca. ■

Tadeusz Gierymski

* * *

Najpierw chciałem, żeby było inaczej. Nie było inaczej, jak mówią niektórzy, nigdy nie jest inaczej. A tak naprawdę, to teraz już mało pamiętam. Byłem chłopczykiem o granatowych włosach, ciemnych, długich rzęsach (tę długość stał na popiół czas) i w tamtym świecie niewiele znałem. Dorośli byli duzi, wysocy jak słupy Herkulesa. Za ich plecami rozciągało się coś wielkiego i tajemniczego. Tylko matka i ojciec (też wielkoludy) przebywali w mojej bliskości. Zapach matczynego ciała z piersiami włącznie. Ojciec był sztywny, surowy, rzadko się uśmiechał. Najczęściej, gdy zbliżając się do

domu, brnął obwieszony zajęciami przez wysoki śnieg, a nad zdobyczą i jego postacią górowała dwururkowa strzelba, której nie pozwalał mi nawet dotknąć. Kiedy rzucał w przedpokoju na podłogę zające, czasem wypadały z nich kuleczki śrutu, które skrzętnie zbierałem. Szaraki wyglądały jakby je ktoś podeptał, wytarmościł, ściekały z nich niteczki buraczkowej krwi. Ten śnieg poleski, o którym wspomniałem, był bardzo biały i przestrzenny. Nieraz przysypywał całe domostwo i niedalekie bagna, utkane czarnymi badyłami i krzakami, bo wiatr wytrząsał z nich śnieg. Czasem z bratem i kimś w pięknym kozuchu bywaliśmy poza domem. To matka wiozła nas niemiłosiernie opatulonych – na sankach. Podczas jazdy wtykaliśmy w śnieg puste gilzy od fuzji ojca. Chyba to wtedy pierwszy raz w życiu widziałem śnieg z tak bliska, dotykałem go rękami. Puszysty, zimny pod błękitną kopułę nieba. Wracając do domu tą samą drogą zbieraliśmy różnokolorowe gilzy. Dziwne, widzę siebie obrazem, jakbym stał z boku albo w kinie oglądał kilka kadrów w sepiowym kolorze.

* * *

A przed świętami na strychu robiliśmy niebo. Więc ten strych był strasznie niebieski, jak sprzedawane na przedwojennych odpustach muszle. Spacerowały po nim żywe jeszcze siostry w długich sukniach i ze skrzydłami. Było tak wysoko, że dziś ani marzyć o tamtej wysokości. Kurz na strychu też niebieski i walały się na nim łebki aniołków. Potem schodziliśmy na dół do mamy, która otwierała ogromne oczy i nic nie mówiąc wręczała nam łapki zajęcze i nieraz sama brała udział w naszej procesji wokół dębowego stołu. Było tak, jakby wydarzył się cud, ale nikt głośno o tym nie mówił.

* * *

Przeczytałem: „**Fale czasu nieustannie uderzają o brzeg wieczności**”. Czy to górnotne zdanie coś znaczy? Nie mówi ono nic konkretnego. Sugeruje jedynie tematy o najwyższym stopniu uogólnienia, w których zawiera się nasza niewiedza, żądza poznania nie do poznania; tajemnica bytu, czasu, przemijalności, narodzin po to, by umrzeć. Między tym wszystkim błąka się coraz bardziej abstrakcyjna dla ludzi XXI wieku skrzydlata dusza. Metafizyczny twór zrodzony z ludzkiej nadziei i rozpacz.



Obraz Barbary Schrenzel

* * *

Pierwsze dni marca. Jadę do śródmieścia. Mrzawka. Ulice szare, brzydkie, mgliste. Nie ma na czym zatrzymać oka. Do tego błoto, gdzieniegdzie umęczone płachetki śniegu. Ni to ni owo. Letnia świetlistość miasta wyjechała do cieplejszych krajów wraz z domami, reklamami, zielonymi koronami drzew, pozostawiając swoje atrapy: zmęczone, niechlujne. Tylko w parku nad suchymi gałęziami latają wrony i reperują zeszłoroczne gniazda. Szarość, szarość...

* * *

Wyjątkowo kretyński program! Również kabotyńscy bohaterowie w domu Wielkiego Brata. Serial ogłupiający odbiorców. A, jak mówią organizatorzy, tę chałę ogląda co drugi Polak. Żle to świadczy o połowie moich rodaków. Ktoś powiedział: połowa głupców, druga – złodziei. Oczywiście to przesada. Ileż takie przedsięwzięcie kosztowało milionów! Oglądając kilka pierwszych odcinków, mimo woli widziałem w ich tle ludzi bezdomnych, często głodnych, chorych i starych, nie mających pieniędzy na kupno lekarstwa. Co roztropniejszy czytelnik po przeczytaniu pierwszego zdania już wie, jaki program telewizyjny mam na myśli: Big Brother.

* * *

Krzysztof Kieślowski: „Każdy artysta nosi w sobie wiarę albo – rozpacz.” Głęboka, mądra teza. Ale czy nie może mieć w sobie i jednego, i drugiego? Obija się wtedy całe życie od jednej do przeciwległej ściany. Co lepsze, co gorsze?

* * *

W teatrze, Hamlet jako trochę mistyczne, narzędzie historii. Można i tak, „Teraz masz spokój. Hamlecie, zrobiłeś co do ciebie należało”. Fortynbraz – ład i porządek.

Znów w Ł. W Honoratce czekam na przyjaciela sprzed lat. Pozostał nim do dziś, choć dzieli nas tak wiele. „Wybierz – powiada – albo apostołstwo, albo pisarstwo”. Był diabło pracowity, drażył jak kret. Obecnie autor kilku nienajgorszych książek, sztuk teatralnych, słuchowisk radiowych. Wyjęto mu zebro. Tuberculosum. Coś w dawnej przyjaźni jednak pozostało. Wobec siebie pozwalamy sobie na sentyment i szczerłość. Tę szczerłość jakiej dziś nie spotyka się często. Możemy mówić milczeniem, gestem. On zna moje Herkulanum i moje Plateje.

W naszych spotkaniach starczy zawsze na kieliszek wspomnienia („Pamiętasz tę butelkę wina?”). Wyroliły się zgiełki, tasują się twarze, wiosna pluje wilgocią, kępkami zieleni. Piękne są wczesne kobiety co zrzuciły zimowe tampony, dziewczyny z proletariackich dzielnic, wymoszczone pragnieniem. Kolorowe, rozchichotane jagniątka. Ich matki nieufne, kwaśne, przedwojenne.

Rzeźnia wielkiego miasta. Wyliniały trotuar, zdeptane podróbki, ostróżyny kalafiorów. Trzeszczące drewniane schody. Dymi z oczu ojca Elżbiety. „Gimnazjaliści, bo was...” Jest wściekły, zasapał się. Uciekamy. Parkan (Zbyszka kłuje w piersiach), rozżądłony Panzerwagen, zielona przybudówka jak przycupnięty motyl – nareszcie ulica. Pierwsze okno zagląda do oczu. „Trzy dziwki – smakuje Zbyszek – jedna rozebrana...” I ja zaglądam: starucha i dwa kaftaniaste dzieciaki na stole; talerz z jajecznicą, światło gmera po kątach. „Ale malarskie” – dodaje usprawiedliwiająco.

* * *

Szczęście jako zmiana, stawanie się, ruch. Bezruch je obezwładnia, kontemplacja unicestwia. Miłość starych panien do Chrystusa. Fanatyczny świder drażący w głąb. Moje przeżycia estetyczne, erotyka książek, ich dziewiczość, rozcinanie kartek. I czas, który bez zmiany nie istnieje.

* * *

Ta sama dziewczynka z 3. piętra znów mi przynosi malusią doniczkę z przypołudnikiem. Trzy kwiaty duże, różowe. Podłużne, mięsiste liście, które uginają się jak guma, kiedy je lekko ścisną palcami.

Mała dostarczycielka przypołudnika ma rumianą cerę, płowe włosy zawiane z tyłu głowy jakąś aksamitną opaską. Duże, piwne oczy, jak dwa świeżo wyjęte ze skorupy kasztany, patrzą na mnie z zawstydzeniem, ale i ufnością. Dziecko chce coś powiedzieć, lecz słyszę tylko dwa słowa: „Daję Panu...”

Dziękując chwyciłem dziewczynkę wpół i zakręciliśmy się kilka razy. Gdy dotknęła podłogi, zachwiała się, musiałem ją chwilę podtrzymać, żeby się nie przewróciła. Była jednak uradowana, z tańca ze starszym panem.

Skąd znajomość? Przed trzema laty, dokładnie co do miesiąca i dnia, wracałem do swojego blokowiska, przed którym stoją zawsze samo-

chody osobowe, wyjeżdżają, przyjeżdżają. Nagle zobaczyłem jakieś 3-4 letnie dziecko na środku wewnętrznej drogi i sunące w jego stronę auto. Instynktownie dałem trzy susy, złapałem dziecko za rękę i przeciągnąłem na drugą stronę. Maską wozu otarła się o mnie. Z innego wozu wybiegli rodzice Iwonki. I wszystko.

Gdyby nie mój „jeleni” skok, czy dziecku stałaby się krzywda? Nie wiem. Samochód niejechał szybko. Może by gwałtownie zahamował, przewrócił tylko dziecko. Rodzice trzyletniej dziewczynki brali jednak pod uwagę najczarniejszy scenariusz (ten epitet ostatnimi czasy jest bardzo modny, podobnie jak „generować” u polityków). Mnie jednak cieszą dwie sprawy: że dziecko w porę usunąłem z drogi, a jeszcze bardziej wdzięczny gest jego rodziców, którzy w każdą rocznicę tej historii przysyłają do mnie małą z kwiatuzkiem. Więc nie wszyscy są niepamiętni! Przez ciemne chmury tu i ówdzie przebija promyk.

* * *

Piękno świata – wiele komponentów. Jednym z nich ma być symetria. Sądzę inaczej, właśnie asymetria nadaje większego uroku rzeczywistości, zwłaszcza w sztukach. Kiedyś nad morzem widziałem lecące stado ptaków. Dużych, machających wielkimi skrzydłami. W środku tej chmury szybowały trzy małe kaczki wodne. Nawet kolumnom w greckich świątyniach świadomie nadawano inny kształt, by trochę zdeformować ich współmierność.

* * *

To przychodzi z daleka i przynosi ciche dzwonienie krwi. Jeszcze lisy nie rozpoczęły swej wędrówki po mieście zanurzonym w cieniu, gdy moje oczy – czuję to wyraźnie – zaczynają się rozszerzać, przywoływać i chłonąć pierwsze załączki światła i równocześnie je tracić. Straty sumujące się przez tygodnie i miesiące leżą przede mną jak zrąbane drzewa pozbawione ptaków, śpiewu i wiatru.

Tak więc cokolwiek pomyślimy, w jakiegokolwiek wpadniemy dno, jakiegokolwiek dojrzewają w nas zamiary – nie możemy zapobiec czynieniu zwykłych gestów i powtarzaniu słów błahych, automatycznych: Zapalisz papierosa? Jutro też przyjdiesz? Wyglądasz uroczo! Musisz, powinnaś...

Przysłuchuję się tym słowom i nie mogę zatrzymać toku zwyczajności, która wnika i we

mnie, zwycięża, rzuca na kolana. Nieudana ucieczka kończy się alkoholem. Jest to nóż, który z całym okrucieństwem przechodzi organizm na wylot. Rozsądne, ustabilizowane ciała udające, że noszą w sobie nieśmiertelną duszę, wpadają do tramwajów i autobusów. Z gestem filuternej obojętności oddają w ręce konduktorów miesięczne bilety i strzępy życia. Na każdym dotkniętym ręką lub okiem pozostawiają krwinki czasu.

Wtedy tylko, gdy myślą, że nikt ich nie widzi, gdy schylają się po skrawek papieru lub, gdy płynnym ruchem rąk, starają się strzepnąć pyłek z ubrania, i gdy uderza ich nagłe poczucie utraty wolności – przez ułamek sekundy następuje w nich zachwianie równowagi. Krew szarpie ściany żył, trwoga rozżarza się do białości – i wtedy właśnie umierają, gdy schylają się po skrawek papieru... Albowiem śmiertelne jest to zwycięstwo praktycznego życia. Zaraz będziemy czyścić buty do połysku, wyciskać sok z cytryny, objadać się czosnkiem lub wodzić ręką po gładkiej skórze czyjegoś ramienia. Ucieczka w miłość nie jest możliwa. Za emocjami zapala się zaraz świadomość ze swą okrutną logiką, wyważaniem racji.

Oto wysoki księżyc i suchy kaszel gwiazd, spopielały ogród ciał. Nawet pończochy przewieszane przez poręcz krzesła zaczynają pachnieć słodyczą twego ciała. Światelko papierosa pełza po twarzy, słabiutko wydobywa z cienia jej zarys, usprawiedliwia milczenie. Czas się nie śpieszy i tak jesteśmy uwikłani w jego pajęczynę, unoszeni jednostajnym ruchem ku następnym wypadkom, które były już wcześniej i które jeszcze nastąpią. Nie te same – ale te same.

A kiedy pytam samego siebie o wartość mojej miłości, wiem, że nie mogę już kochać. Nadmiar wężowej samowiedzy stanowi przeszkodę, której nie umiem ominąć. Halina przeżywa, być może, coś podobnego. Ale nie zdradza się żadnym słowem, tak samo jak ja. Jej choroba dopiero się zaczyna, na razie widzę ledwo dostrzegalne oznaki i nie mogę uczynić nic, żeby ją przed tym uchronić. Na pewno ten embrionalny stan będzie u niej trwać dłuższy czas. Potem nastąpi jakościowy skok. Chciałbym, żeby twój pośpiech, Halino, objawił się najpóźniej, żebyś już zupełnie zraniony i kaleki (a więc w jakimś stopniu obojętny) ogładał spustoszenie, jakiemu uległaś i jakiemu nie potrafisz się poddać. Wycieknie z ciebie zalotność, zarzęsona kokieteria i z każdym pocałunkiem, łomotem serca będziesz jakby mniej warta. Zasypiam przy tobie, a podczas naszego snu odpadają niektóre (na razie niektóre) cząsteczki twego ciała, urody. Bezpowrotnie. ■



fot. Paweł Gładys

wspomina**Czestawa Monczka**

Pierwsze częstochowskie wspomnienia? Pierwszym przedstawieniem, w którym grałam w Częstochowie, w moim pierwszym roku pracy w Bielsku był „Sułkowski”. Doskonale pamiętam teatr sprzed remontu. Z tamtych czasów bardziej wbiła mi się w pamięć mała scena niż duża. Kiedy przyszedłam tu w roku 1982 z Jeleniej Góry z niewielką grupą kolegów, teatr był w remoncie i jeszcze dwa lata pracowaliśmy w „Politechniku” i Filharmonii. Dyrektorami byli wtedy Andrzej Jurczyński i Wojciech Kopciński. Pierwszą „rzeczą” jaką tu zrobiłam było „Tabu” i to „Tabu” grałam na dużej scenie w Filharmonii. Scena była jednocześnie widownią. Jest to dla mnie bardzo miłe wspomnienie. Graliśmy o godzinie dwudziestej i zawsze przy komplecie widzów. Niezapomniane było dla mnie przyjęcie przez publiczność częstochowską. Ceniłam sobie to,

że widzowie są tacy uważni, że tak uważnie patrzą, że tak uważnie słuchają, że tak serdecznie mnie przyjmują. Dostałam wtedy złotą maskę od publiczności, więc chyba musiała ona mieć dużo serca dla mnie. Ja tę maskę cenię sobie szczególnie – bo jest od publiczności. Spotykałam się zresztą bardzo często z tym, że nie byłam osobą obcą dla widzów w Częstochowie. Teatry z Zabrze, Sosnowca, Bielska-Białej większość sztuk grały gościnnie w Częstochowie i odwrotnie, dlatego w spotkaniach z widzami okazywało się, że mnie ludzie znają, pamiętają z tamtych przedstawień. Ogromnie to było miłe. Mimo remontu teatru graliśmy dużo, robiło się 6-7 premier. Pierwszą sztuką w jakiej grałam tutaj, już w teatrze był „Kruczkowski” Jana Machulskiego. To były takie wybrane sceny z Kruczkowskiego – Jan Machulski grał z nami gościnnie. Premiera

odbyła się wprawdzie jeszcze w „Politechniku”, ale graliśmy już w teatrze. 1 października było otwarcie teatru, z wielką pompą, z premierem Rakowskim na widowni. Na to otwarcie była przygotowana „Zemsta” w reżyserii Bogdana Michalika, bo właśnie Bogdan Michalik został dyrektorem. Przez dwa lata remontu troszkę nam się zespół powymieniał i po tych dwóch latach znów za nowym dyrektorem przyszło chyba dwanaście osób, w tym duża grupa po szkole krakowskiej. Cieszyło mnie to bardzo, bo jakoś tak bezpieczniej człowiek się czuł mając za plecami tych, którzy spod tej samej ręki wyszli. To był wspaniały czas tego teatru. Świetny zespół aktorski, bardzo interesujący repertuar, współpraca z reżyserami, scenografami, muzykami z tak zwanej „pierwszej półki”, zaowocowała udziałem we wszystkich teatralnych festiwalach w kraju, przeniesieniem naszego przedstawienia do telewizji. Grywaliśmy na wszystkich trzech scenach jednocześnie.

Ważniejsze przedstawienia? „Opera za trzy grosze”, „Zmierzch”, „Bal Manekinów”, „Kwiaty Polskie”, „Heloiza i Abelard”, „Okapi”, „Sami ze

wszystkimi” i wiele innych. To coś niezwykle cennego dla aktora – duma z przynależności do takiego zespołu, poczucie bezpieczeństwa i świadomość zawodowej uczciwości wobec widza, odpowiedzialności za teatr, za spektakl. W szkole byliśmy przygotowywani do tego, że w teatrze okaże się, że dokładnie nic nie umiemy – rzeczywiście bardzo wielu rzeczy trzeba się było nauczyć. Do końca życia nie zapomnę swojego pierwszego kontaktu z inspicjentem, który wprowadził mnie w świat obyczajów. One jako coś naturalnego we mnie pozostały. Gdybym nie postępowała tak, jak on mnie nauczył, to musiałabym przestać siebie szanować. Cieszę się bardzo, że jeszcze udało mi się wejść w tamtym czasie. Kiedy przyszedłam na pierwszą próbę czytana okazało się, że wszyscy panowie są w garniturach, białych koszulach, krawatach. Zapytałam inspicjenta, jakie jest święto, na co on odpowiedział: „Nie mówili ci tego w szkole? Pierwsza próba czytana. Po raz pierwszy dostajesz egzemplarz sztuki do ręki”. Tego mi w szkole rzeczywiście nie powiedziano. Są to sprawy nie do odtworzenia – może już dziś nikomu niepotrzebne?

Kiedy dyrekcję objął Tadeusz Kijański, zespół znów się trochę zmienił. Ja w tym czasie bardziej byłam zajęta macierzyństwem, mniej zaangażowana w sprawy teatru, ale po dwóch latach, kiedy mały był już trochę odchowany, a dyrektorem został Ryszard Krzyszycha, z wielką radością grałam Modrzejewską w „Bracie naszego Boga”. Och, nie sposób wyliczyć sztuki, które wtedy zrobiliśmy. W całej Polsce zaczynały się kłopoty z wypełnieniem widowni, u nas też – pięćdziesiąt spektakli jednej sztuki to był sukces. A myśmy go mieli! „Fizycy”, „Brat naszego Boga”, „Łotrzyce”, „Historyja o chwalebny m zmarłych wstaniu Pańskim”, „Szaleństwo”, „Śluby panińskie”, „Szewcy”, „Wesele”, „Plajta”... Po Ryszardzie Krzyszysze teatr objął Henryk Talar, a obecnie dyrekturuje Marek Perepeczko. Dorosła nam nowa widownia w ciągu tych siedmiu lat, zdobyliśmy nową, pragnącą zobaczyć na żywo aktorów znanych z ekranu. Czas pędzi oszałamiająco prędko, teatry poszukują nowego oblicza – nasz także. A widz niezmiennie przychodzi i kiedy gasną światła oczekuje od nas radości, wzruszenia, zapomnienia o wszystkim co jest poza światem, który my staramy się stworzyć.

Najbliższe plany? Bardzo bym chciała w najbliższym czasie zrobić monodram. Poza tym mam bardzo wielką ochotę na zagranie komedii, farsy. Przede wszystkim bardzo mnie frapuje

mała rzecz – dwie, trzy osoby, które się świetnie porozumiewają; niewielkie formy. Myślę również o recitalu, bo oprócz tych piosenek, które mam, jest jeszcze parę takich, o których marzę, żeby zaśpiewać, a jest to znakomita okazja – recital, żeby się zmobilizować. Szaloną przyjemność daje mi również tego typu praca, jak spotkania w „Błaźnie”, audycje muzyczne w Filharmonii, czy inne przedsięwzięcia, jak ostatnio „Panna Julia”, albo kontakty z młodzieżą.

Dlaczego tak długo jestem w Częstochowie? Dopóki człowiek pakuje walizkę i wyjeżdża z miasta do miasta, to wszystko jest wspaniale, gorzej jest, jak trzeba przeprowadzić piwnicę. Niestety życie ma swoje prawa, dzieci rosną – to jest szkoła, którą mój starszy syn zmieniał ciągle i w końcu dziecko powiedziało: „Dość. Ja też chcę mieć kolegów, ja chcę mieć swoje miejsce”. Byłabym nieodpowiedzialna, gdybym go dalej włączyła. Teraz do szkoły chodzi młodszy syn, który urodził się już w Częstochowie. W sierpniu minie 18 lat od mojego tu przyjazdu. To dłużej niż mieszkałam w mieście, o którym mówię „moje rodzinne”. Szmata czasu w życiu i w teatrze. Wielu kolegów, pracowników odeszło do innych teatrów, wielu na emeryturę, wielu na zawsze. Żałuję, że nie wypracowaliśmy przez te lata zwyczaju pamięci o tych ludziach. Nie zaprasza się na przedstawienia, nie wspomina się z okazji Dnia Teatru, nie odwiedza się grobów. Czuję się winna, ale nie umiem o to zadbać, „zawalczyć”. Nasze teatralne zwyczaje, teatralne życie odeszło na emeryturę razem z naszym wspaniałym, wieloletnim gospodarzem – dyrektorem administracyjnym Jerzym Kempą. Przychodzą nowi aktorzy, pracujemy z innymi reżyserami. Ilu ludzi w teatrze tyle wspomnień sentymentalnych, nieobiektywnych, bo tylko naszych. Bo tak naprawdę największy „teatr ogromny” każdy z nas, ludzi teatru, ma w swoim sercu.

Wysłuchała Małgorzata Kaczanowska

GDZIE KUPIĆ ALEJE?

Poniżej podajemy wykaz miejsc, w których można nabyć „aleje 3”:

Biblioteka Publiczna, al. NMP 22 (hol)

Filharmonia Częstochowska

OPK „Gaude Mater”

Teatr im. A. Mickiewicza

Miejska Galeria Sztuki

Galeria „Art Caffe”, ul. Focha 16

FUH „MOL” – sklep, ul. Jasnogórska 19

Zakład fotograficzny „Faks-foto”, al. NMP 3

KSIĄŻKI

2 lutego br. w OPK „Gaude Mater” swoją książkę pt. „Prawo konstytucyjne” podpisywał prof. Stanisław Sagan. Książka wydana przez PWN przeznaczona jest dla studentów prawa i administracji, nauk społecznych, politycznych i dziennikarstwa oraz pracowników administracji publicznej i prawników. Profesor jest dyrektorem Instytutu Administracji WSP w Częstochowie. Ma na swoim koncie opracowania i tłumaczenia konstytucji Słowacji, Norwegii i Islandii. Kilka dni później przyjechał do naszego miasta na spotkanie w WSJOiE były dyrektor radia „Wolna Europa” - Jan Nowak Jeziorański. Podczas dwudniowego pobytu otrzymał wyróżnienie tej uczelni i rozmawiał z częstochowianami na tematy poruszane w dwóch swoich książkach: „Kurier z Warszawy” i „Wojna w Eterze”. Zaś 6 marca swoją książkę pt. „Z przestworzy do NATO” podpisywał w Bibliotece Głównej były minister obrony Janusz Onyszkiewicz. Na wcześniejszej konferencji prasowej w antykwariacie pana Biernackiego podkreślał swoje związki z Częstochową (honorowy członek Speleoklubu Częstochowskiego). Gościliśmy więc przedstawicieli wielkiego świata polityki.

WYRÓŻNIENIA

W trzeciej edycji plebiscytu na wydarzenie i człowieka kultury w Częstochowie, organizowanego przez lokalny dodatek „Gazety Wyborczej”, zwyciężył głosami czytelników Janusz Siadlak – założyciel Chóru Akademickiego Politechniki Częstochowskiej (pisaliśmy o nim w nr 31), a za najważniejsze wydarzenie uznano koncert w Filharmonii Częstochowskiej „John Lennon Pro Memoriam”. Wyróżnienie sympatyczne, gdyż świadczy o popularności i dobrym odbiorze w naszym mieście (odpowiednik nagrody publiczności). Warto tutaj wspomnieć o Leszku Pilichowskim – fotoreporterze GW, który na IX Konkursie

Polskiej Fotografii Prasowej zdobył I nagrodę w kategorii „Życie codzienne”. Nagrodzony fotos przedstawia skupioną przy stole (kompozycja podobna do „Lekcji anatomii Doktora Tulpe’a”) grupę chasydów przybyłych na grób cadyka Dawida do Lelowa. Temat egzotyczny i bardzo malarski. Gratulujemy. Nasz redakcyjny kolega Arek Zajac także ma się czym pochwalić, gdyż jego prace (oraz dzieła dwóch innych częstochowian: Tomka Sętowskiego i Adama Mroźka) znalazły się w katalogu prestiżowej Galerii SD w Warszawie obok takich znanych nazwisk jak Stasys, Lebenstein, Młodzeniec, Starowieyski, Dwurnik i in. Poziom jego prac doceniają zarówno właściciele galerii (stając się pierwszymi nabywcami), krytycy jak i pub-

Z MIASTA

liczność. Arek skromnie komentuje ten fakt: „Wielu zestawia mnie niespodziewanie z pierwszoligowymi artystami”. Ten trzydziestoletni absolwent miejscowej WSP w ciągu niecałych czterech lat własnym wysiłkiem zdołał „przedrzeć się na salony”, może więc uważać się za człowieka sukcesu. W świecie malarstwa rzadko takie wyniki osiąga się w tak młodym wieku. Prorokuję zatem, że stoi przed nim wielka kariera i duże czcionki w przyszłości. Tymczasem jego prace można obejrzeć na stronie: www.optimus-bis.com.pl/zajac/.

Prace Tomka i Arka zostały ponadto opublikowane obok prac takich znanych artystów jak: Bereźnicki, Moryciński, Olbiński, Yerka w trzech dużych kalendarzach wydanych przez inną warszawską galerię „Alisar”.

PROMOCJA

W poniedziałek 12 marca 2001 r. w Miejskiej Galerii Sztuki odbył się wernisaż fotografii Piotra Dłubaka połączony z promocją albumu „Laureaci Nagród Prezydenta Częstochowy w dziedzinie sztuki 1990-2000). Fotografie prezentują postacie ze świata muzyki, malarstwa, literatury, teatru, filmu i kabaretu szczególnie zasłużone dla naszego miasta. Można by długo dyskutować kto tam jest, a kogo nie ma, jednakże najważniejsze w tym wszystkim są zdjęcia świetnie oddające charakter i osobowość postaci, dzięki czemu album jest galerią różnych typów ludzkich, mocno zróżnicowanych psychologicznie. Krótkie wypowiedzi pozujących, umieszczone pod zdjęciami, są już tylko ich dopełnieniem. Wybór władz miasta nie przypadkowo padł na Dłubaka, ponieważ artysta ten świetnie się czuje w fotografii portretowej, co podkreślano już przy nagradzanych na konkursach aktach kobiecych. Praktyka teatralna też zrobiła swoje. Album wydano w dwóch wersjach: w oprawie twardej i miękkiej (ceny 25 i 35 zł).

DOM KULTURY

OPK „Gaude Mater” spełnia w naszym mieście rolę niemal domu kultury. Oprócz koncertów, kabaretów, wystaw malarskich odbywają się spotkania klubu literackiego „Meneris”, wznowione po długiej przerwie „Spotkania Sztuk Wszelakich”, wieczory sceny „Blazen”, a ostatnio zadebiutował klub poetycki „Złota Jesień”. Skupia on osoby starsze (głównie panie) zajmujące się pisaniem poezji. Panie ze „Złotej Jesieni” wcale nie czują się gorsze i chcą zaznaczyć swoją odrębność od rozwichrzonych młodzieńców. W marcu pani Nengo-Tomzik zdobyła się na odwagę i odczytała swoje wiersze przy świecach i publiczności. Zjawisko sympatyczne i pozytywne, gdyż emancypacja ludzi w wieku emerytalnym w naszym kraju jest jeszcze w zarodku, a przecież w krajach cywilizowanych faktycznie

przeżywają oni swoją złotą jesień. Poziom wierszy jest różny, ale w roli konsultanta występuje Tadeusz Gieryski (poeta z dorobkiem), więc warsztatowo klubowiczki mogą jeszcze nad sobą popracować. Jeżeli zakładać jakiś klub – to tylko w „Gaude Mater”!

CIĘCIA

Lista strat „częstochoviańców” wydłuża się. Niedawno swoją działalność zawiesił teatr dla dzieci „Kleks”, funkcjonujący przy filharmonii, a już się słyszy o likwidacji miejscowego oddziału radia RMF, słuchanego zwłaszcza przez kierowców. Nie jest to bezpośredni skutek powiatowienia miasta, lecz wynik odebrania koncesji na nadawanie na dotychczasowych częstotliwościach. To przykre tym bardziej, że przez kilka lat częstochoviańskie zdążyli się przyzwyczaić do lokalnych serwisów informacyjnych, no i kilku kolejnych dziennikarzy idzie na bruk. Trudno uznać za pocieszający fakt, że cięcie dotyczy całego kraju. Co jeszcze w tym roku padnie w naszym pięknym mieście? Gdy jednak coś „padnie”, zwykle coś innego powstaje w tym miejscu. W Filharmonii swoją działalność zapoczątkowała „Scena Eksperyment”, będąca kwintesencją poszukiwań kilku aktorów naszego teatru (A. Hutryra, Cz. Monczka, M. Ślosarski). Pierwsza sztuka „Panna Julia” A. Strindberga miała swoją premierę 1 kwietnia i planowane są następne, bardziej kameralne od tych z Teatru im. A. Mickiewicza. Sztukę wyreżyserowała Katarzyna Deszcz, a stronę muzyczną opracował Janusz Yanina Iwański (patrz: rozmowa z Yaniną w dziale – muzyka).■

Na ekranie życia

Wioletta Grzegorzewska

7. marca br. klub literacki „Meneris” zrealizował na scenie OPK „Gaude Mater” przedstawienie poetyckie pt. „Seans”. Pomysłodawcą spektaklu był młody poeta Mateusz Szkop. Scenariusz napisali wszyscy menerianie na zasadzie wypełniania luk w gotowej ramówce. Mateusz zaplanował ciekawą sytuację sceniczną – widzowie kontra widzowie.

Na scenie ustawiono trzy rzędy krzeseł, z tyłu projektor wyświetlał pseudo-film. Podczas emisji ubarwionej prawdziwymi ścieżkami dźwiękowymi poeci dzielili się własnymi przemyśleniami, kreowali poetyckie sytuacje wyrwane z kontekstu życia. Z lirycznych konkluzji wyłoniła się dekadenccka wizja świata. Prawie wszyscy wyrazili rozczarowanie współczesną rzeczywistością. Na przykład skrzywdzona i niespełniona uczucio-wo kobieta odkryła swoją tajemnicę: „szczytowałam chybiając”. Luluś i birbant zaafierowany własnym wyglądem stwierdził, że dopiero jutro będzie sobą. Inny kinoman czuł się skażony zachodnią cywilizacją. Miał ochotę wyżygać chipsy, colę, hamburgery. Jakaś młoda kobieta zniechęcona współczesnym myśleniem uznała, że najlepszym sposobem obrony będzie ucieczka, jak czynił to Józio w „Ferdynandzie”. Opuściła więc scenę mówiąc: „Mam dość, znowu wychodzę!”. W pierwszym rzędzie zakochani kłócili się podczas seansu, roz-

mawiali o seksie, odkrywali fałsz swe-go związku. Turystka z plecakiem uznała, że ludzie przychodzą do kina, aby naładować się emocjami i „usprawiedliwić posiadanie rozumu”. Wśród kinomanów była obecna także biała postać w czerni. Jak się nietrudno domyślić, była to śmierć. Porównała się do szalonego szantażysty, który wycina na chybił-trafił banalne happy-ends. Kiedy spektakl dobiegł końca na pustej scenie został podchmielony mężczyzna. Podsumował on dotychczasowe rozważania następującymi słowami: „...nie ma innego życia poza białym, pustym ekranem”. Czyżby istnienie było pustką i nicością?

Spektakl klubu „Meneris” miał wymowę metaforyczną. Mateusz twierdził, że artyści są widzami nie tylko w kinie. Przed wiekami czarnoleski poeta uważał, iż życie jest przedstawieniem w teatrze, a po skończonym spektaklu wcisną nas do worka, jak to czynią łątkom. Menerianie pokazali nieco inną prawdę – Twórca jest samotnym, pasywnym autsajderem obserwującym wydarzenia na ekranie życia.■

„Seans” wg. pomysłu Mateusza Szkopa, wyk. Agnieszka Bugara, Agnieszka Kielbasa, Wioletta Grzegorzewska, Rafał Salamuch, Oliwia Jakubik, Krzysztof Górecki, Renata Zarychta, Jakub Rudziński, Tomasz Szewczyk, Marcin Janocha.

WYMIANA MYŚLI KULTURALNYCH JUŻ WKRÓTCE!

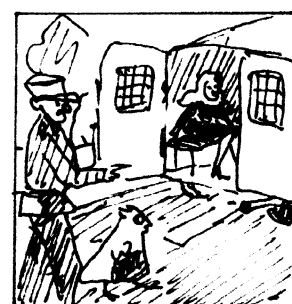
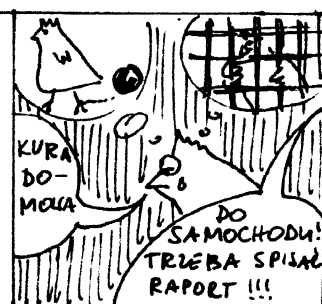
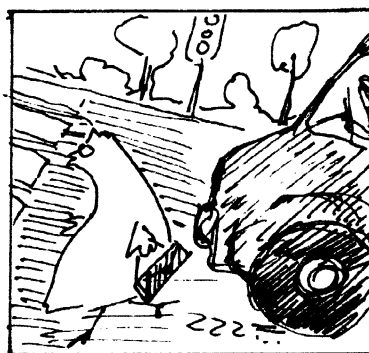
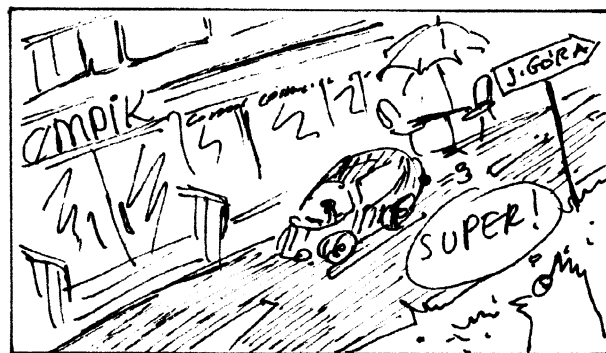
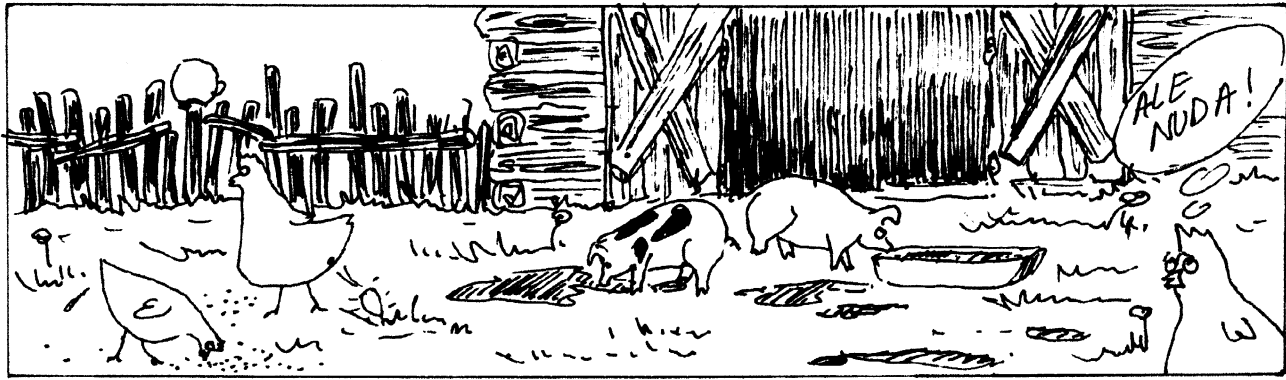
ZAGLĄDAJ NA STRONY SERWISU INTERNETOWEGO „ALEJ 3”:

<http://www.emediapro.com.pl/aleje3/>

Swoje propozycje na forum dyskusyjne można przesyłać na adres:

aleje3@emediapro.com.pl

KURA JAKA JEST, KAŻDY WIDZI...



C
D
N.

Środa 2001

AJEDNAK PRZYSZŁA! MYŚLAŁAM, że skoro już prawie wszystko stoi na głowie, to i wiosna nie będzie się przejmować datą jej przypisaną. Zaslugę chyba należy przypisać małodatom, które niemrawo płątały się po ulicach w bliżej niesprecyzowanym celu. Ciekawa jestem co przysporzyło młodzieży szkolnej więcej uciechy – wagary czy rekolekcje?

„Za moich czasów”... wagary były czymś ryzykownym i emocjonującym, mającym smak zakazanego owocu. A teraz, bracie – obowiązek – chcesz, nie chcesz – fora ze dwora! Udział w rekolekcjach napawał dumą, dowartościowywał, mnie nie tak łatwo złamać! A teraz – za rączkę – a spróbuj się buntować!

Na szczęście doszłam do wieku, w którym nikt mi niczego nie może kazać. Mogę na przykład nie oglądać w TV programów „Wielki Brat”, czy „Dwa Światy”. Pozwolę sobie przytoczyć słowa Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

„W tęsknie i ciężko szumiącym ogrodzie zoologicznym ludzie oglądają dzikie zwierzęta, ciągnąc za sobą swoje własne przenośne więzienia. Niewidzialne na oko klatki ludzkie otaczają ofiary nieprzeniknioną aurą. (...) Patrzą nie widząc. Wymijają po tygrysiemu wzrok obserwatora, który zawsze i wszędzie znajdzie się, nieproszony”.

Mogłabym też nie oglądać reklam, choć o to trudniej, poza tym dostarczają jednak powodów do radości, ale i zastanowienia... Na przykład nie wiedziałam, że w wafelkach czy ciasteczkach może „tkwić zabawa”, albo, że smak jakiegoś napoju (tym razem naprawdę bezalkoholowego) może rozbawić. Jakie to pocieszające. Dowiedziałam się również, że dawni cesarze chińscy porozumiewali się w języku włoskim, że można mieć „kolekcję czekolady”... Kiedyś miało się kolekcje brylantów...

Ostatnio nawet w poważnych programach publicystycznych pojawiają się zadziwiające lapsusy. Prowadząca program mówi ni mniej, ni więcej: „To

jest **pestka** w porównaniu z...” Przy relacji z jakiegoś wydarzenia w Krakowie figuruje napis: „Uniwersytet Jagielloński”. Dalej – słyszę zapowiedź, że gościem programu będzie paulin, ojciec (imienia nie pamiętam). Nie byłabym mieszkanką naszego miasta, gdybym się nie zainteresowała tym faktem. Doczekałam się rzeczono go gościa. Patrę i oczom nie wierzę – czyżby szedł pieszo, że taki przykurzony? A może spotkała go jakaś inna nie miła przygoda? No i pada zapowiedź: „Państwa i moim gościem jest ojciec (...) – kapucyn!

Skończyła się na razie „Małyszomania” – czyli małyszowy zawrót głowy: „skacz, skacz, jak **Adamalysz**”. Pominę miłosiernym milczeniem wydanie książki „Małysz: Bogu dziękuję”.

Śledzę z zainteresowaniem poczynania platformy, na którą wsiada coraz więcej pasażerów. Właściwie panowie o takich znaczących inicjałach (O.P.T.) powinni wybrać raczej jacht. Skoro Leonid Teliga opłynął nim cały świat...

Nie mogę sobie odmówić przyjemności złożenia spóźnionych życzeń imienninowych pani Krystynie Lubiczowej. Obawiam się nieco o zdrowie i życie aktorów grających różnego autoramentu bandytów i wykołajeńców. Wnioskuje o przyznanie im przymusowej ochrony. Podobno po ukazaniu się pierwszego wydania „Trędowatej” Heleny Mniszkówny rozszechlochane czytelniczki szukały jej grobu i zamawiały msze za jej udręczoną duszę... „O tempora! O mores”.

Sięgnijmy teraz po prasę lokalną. Mianowicie w materiale dotyczącym jakichś spraw medycznych przeczytałam wzmiankę o „zarażonym pacjencie”. No i piękne ogłoszenie: „Na Najświętszej Marii Panny jest praca z Katowic”(!?).

Więcej uciechy przysporzyły mi lokalne rozgłoszenie radiowe. Usłyszałam z niejakim zdziwieniem, że pojedzie gdzieś „autokar **złożony** z dyrektorów szkół”. Nie znam się na motoryzacji, ale myślę, że pojazdy składają się raczej z kół, kierownicy,

foteli et cetera. Chociaż, skoro tyle szkół się likwiduje, więc może dyrektorzy idą na części zamienne. Litości...

W innej rozgłośni dowiedziałam się, że pewien kontrowersyjny program telewizyjny stanowi **apotezę**. Kiedyś obliły mi się o uszy takie określenia jak teza, czy antyteza, okazuje się, że może być też apoteza.

Nie mamy się jednak czego wstydzić. W polecanym uprzednio przeze mnie radiowym programie ogólnopolskim usłyszałam takie kwiatki: „urodził się **w zasadzie**” (powiedzmy w Krakowie). To znaczy, że co – niezupełnie się urodził? Dalej „dobre zadowolenie słuchaczy”. Ja odczułam zupełnie złe zadowolenie. Dalej: „**gros** z nich, jeśli nie większość”. I najpiękniejsze zdanie „samce słowików, zwłaszcza te **niezameżne**” – oj, niebezpieczny temat, czyżby dewiacje seksualne dotyczyły także ptaków? I to jeszcze słowików?...

Prasy ogólnopolskiej nie mam okazji czytać, ale czasami coś mi w oko wpadnie. No i udało się. Mianowicie: „w procesji niesiono **felertrony**”. „A to feler westchnął seler”.

Wracając na częstochowskie podwórko – chciałam się podzielić z czytelnikami wrażeniami z XXVI wieczoru z „Zapomnianą piosenką, gdzieś pod sercem ukrytą” poświęconego Józefowi Piłsudskiemu. Nie podzielię się. Spotkania na poddaszu u malarza w częstochowskim Ratuszu skończyły się. Przyczyn nie znam, ale żałuję. Mam nadzieję, że panu Aleksandrowi Markowskiemu uda się przywrócić je do życia ku zadowoleniu licznych uczestników-przyjaciół.

Bo jak mówi Johann Wolfgang Goethe: „Każdego dnia trzeba posłuchać choćby krótkiej piosenki, przeczytać dobry wiersz, obejrzeć piękny obraz, a także, jeśli to możliwe, powiedzieć parę rozsądnych słów”.

A co warto przeczytać? Może biografii pióra Elżbiety Baniewicz „Anna Dymna. Ona to ja”, no i oczywiście „Aleje 3”.■

Elżbieta Bułhak

Dziecięcy Zespół Wokalny „Niezapominajki”

Paweł Gładys

Zespół dziecięcy „Niezapominajki” powstał w lipcu roku 2000 przy Agencji Artystycznej „Amata”. Instruktorką zespołu jest autorka tekstów, członkini ZAiKS-u, Małgorzata Kaczanowska, która jednocześnie dobiera repertuar i kostiumy. Początkowo większość dzieci w zespole stanowili uczniowie szkoły podstawowej oraz gimnazjum – w pierwszym dziesięcioosobowym składzie było zaledwie troje przedszkolaków. Dziś „Niezapominajki” to: dziewięcioletni: Pamela (w zespole od grudnia) i Bartosz (od marca), sześciolatnia Ania (od września), pięcioletni – Dagmara (od grudnia), Gizela (od początku), Oliwia, Ewa (obie od lutego) i Adam (od marca), czteroletnia Martyna (od listopada) i trzylatki Zosia (od marca) i Kornel (od początku). Jest to skład zespołu podany nam w chwili oddawania materiału do druku.

„Niezapominajki” śpiewają zarówno piosenki znane – z repertuaru Natali Kukulskiej, „Tęczy”, ze śpiewników dziecięcych, festiwalowych, religijnych, przedszkolnych, jak i napisane specjalnie dla nich. W repertuarze zespołu znajdują się piosenki świąteczne, również premierowe, z których część została wydana na kasecie nagranej w październiku roku 2000, a zatytułowanej „Kolędy i pastorałki”. Zespół działa pod patronatem TV regionalnej programu 3 w Katowicach oraz księży pallotynów (u których wystąpią na początku czerwca w „Dolinie Miłosierdzia”).

„Niezapominajki” bardzo chętnie prezentują się na scenie, a podstawowym strojem dziewczynek jest oczywiście błękitna spódniczka. Zarówno buciki, jak i materiały na spódniczki oraz scenografię otrzymały od sponsorów – szefów Zetpolu i Galtexu. Dzieci przyjmowane są życzliwie

przez publiczność w bardzo zróżnicowanym wieku. Rozbrajająco działa na widzów wokalista, który nie jest w stanie utrzymać mikrofonu! Nawet ci najmłodszy śpiewają na żywo, nie ma tu pełnych playbacków. Jeżeli zdarza się jakaś pomyłka lub któraś „Niezapominajka” zapomni tekstu (większość nie umie jeszcze czytać!), to widzowie starają się pomóc gorącym dopingiem. Podkłady muzyczne to przeważnie półplaybacki, choć solistom zespołu zdarzało się występować przy dźwiękach gitary. „Niezapominajki” występują często w Klubie Mieszkańców Spółdzielni Mieszkaniowej „Północ”, z którym Agencja Artystyczna „Amata” współpracuje. Niektórzy soliści natomiast śpiewali oraz recytowali poezję na „Wieczorach u malarza ...”. Autorem tych spotkań jest artysta malarz Aleksander Markowski. Odbywały się one w Ratuszu. Wieczór XXV (jubileuszowy) został przez dyrekcję Muzeum potraktowany jako ostatni. Być może spotkania te będą się odbywać w niezmienionej formie w auli redakcji „Niedzieli”.

Zgłaszanie zespołu i jego członków na festiwalu i konkursy podlega pewnym kryteriom. „Niezapominajki” m.in. nie jadą tam, gdzie wymagane są wygórowane opłaty (akredytacja) lub tam gdzie przesłuchania bądź koncerty odbywają się w godzinach wieczornych (większość członków zespołu wcześniej chodzi spać). W niedługim czasie od ukazania się niniejszego numeru odbędzie się festiwal „Gaudium et Gloria”, na którym będzie można zobaczyć jedną ze starszych „Niezapominajek”.

Dzieci sukcesywnie przygotowują się do wyjścia na scenę. Zaczynają od śpiewania piosenek zespołowych. Starsze uczą się dykcji, prowadzenia

głosu, interpretacji. Uczone są alfabetu ruchu scenicznego, czyli umiejętności zachowania się na scenie. Nie tańczą na scenie, gdyż wykluczałoby to śpiewanie na żywo. Od malucha wymagane jest nauczenie się tekstu na pamięć, no i oczywiście odwaga, żeby wyjść na scenę i zaśpiewać. A śpiewały przed publicznością liczącą powyżej 400 osób. Jak na ich wiek jest to całkiem spora publiczność.

„Niezapominajki” w czasie koncertów starają się zbierać środki finansowe na rzecz Ośrodka Preadopcyjnego w Częstochowie. Nie są w tym zresztą odosobnione – 10 maja na rzecz Ośrodka wystąpi w Filharmonii Maryla Rodowicz. Inne duże przedsięwzięcie z udziałem „Niezapominajek” to festyn na terenie Domu Dziecka w Chorzenicach, zaplanowany na 2 czerwca. Odbywać się będzie festyn pod hasłem „Daj światu miłość”, a zapowiada się tam wiele atrakcji, nie tylko artystycznych.

Dzień „Niezapominajek” nie jest oczywiście wypełniony tylko nauką i pracą. Jak wszystkie dzieci, również „Niezapominajki” uwielbiają się bawić. Bardzo lubią przychodzić do „Bajolandii” (patrz zdjęcie), gdzie zdarza się, że najpierw występują, a potem



wraz z niedawnymi widzami szaleją na jeźdźalni czy w suchym basenie – będzie tak np. 1 czerwca. Zdarza się, że po występie (nie tylko w „Bajolandii”) zgłaszają się rodzice z dziećmi, które również chciałyby śpiewać. Kilko z tych dzieci to dziś członkowie zespołu, tak więc i Ty możesz zostać „Niezapominajką”... ■

LATOSI TO ZNACZY PRAWDA...

Marek Czarnołęski

8 marca 2001 roku w wieku 90 lat zmarła w Częstochowie nestorka sztuki nieprofesjonalnej Walentyna Latosi (1911-2001).

Nestorka częstochowskich malarzy Walentyna Latosi była postacią w środowisku twórców wyjątkową. Oficjalnie sztukę artystki zalicza się do tzw. kreacji amatorskiej, lecz w przypadku pani Walentyny określenie takie myli i nie wystarcza. Faktem jest, iż malarka podjęła samodzielną edukację plastyczną nie ukończywszy szkoły plastycznej, lecz przecież nie fakt wykształcenia decyduje o statusie artystycznym plastyka. Walentyna Latosi tak samo, a może nawet szczerzej niż artyści dyplomowani, manifestowała swą wrażliwość estetyczną. Nikt do niczego malarki nie nakłaniał i nie wywierał wpływu na jej twórcze decyzje i poszukiwania. Bogate doświadczenie życiowe wraz z twórczą pasją były dla Walentyny Latosi najlepszą akademią sztuk pięknych. To, co prezentowała ostatnia za jej życia indywidualna wystawa artystki w Galerii Klub Wiedeński w Częstochowie, świadczy o nieprzeciętnym talencie Walentyny Latosi, jej pracowitości i umiejętności „zatrzymania” w sztuce najskrytszych, dziecięcych wręcz emocji. Pejzaże z motywami architektonicznymi, pejzaże „czyste”, opiewające soczystą, jędrną przyrodę, martwa natura z bukietami kwiatów, owocami są prawdziwymi zwier-

ciadłami wielu wcieleń malarskich pani Walentyny. Najbliższe mym oczekiwaniom są gwasze i tempery pejzażowe. Wyraźne piony formatów zazwyczaj podzielone zostały na dynamiczne płaszczyzny chmur, dużych plam drzew z cienkimi, patykowatymi pniami, traw, wiejskich dróg, rozeschłych powykręcanych płotów... Lubię u Latosi „grające” pierwszoplanowe role kwiaty. Tylko trochę zielenizny, kilka barwnych główek z rozłożystymi płatkami w jakimś niepozornym szklanym lub glinianym naczyniu, draperia albo i nie. Wazon może stać na pofałdowanej tkaninie. Zróżnicowanie walorów, światłocieni, operowanie kolorystem lokalnym, jak i wymiennie harmonizującym wspólne obszary kompozycji, napędza prace artystki klimatem prawdziwego malarstwa. Nie obawiała się ona pozostawiać na płótnach lub papierze śladów operowania narzędziem plastycznym. Podejście malarki do utrwalanych motywów miało znamiona przede wszystkim impresjonistyczne, spontaniczne. Może nieraz cierpi na tym rysunek form, lecz ponadczasowa istota sztuki Walentyny Latosi trwa w jej autonomicznym istnieniu i przenoszeniu energii na widzów.

Walentyna Latosi należała do grupy plastyków amatorów „Zachęta” oraz Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych im. Wandy Wereszczyńskiej w Częstochowie.■

NA SKRZYDŁACH

Władysław Ratusiński

Skrzydła, pióra i formy do nich nawiązujące. Czarno-białe rysunki ołówkiem odznaczające się szlachetną prostotą, oszczędnością środków oraz subtelne prace wykonane techniką mieszaną. Jest w nich delikatność, lekkość i uduchowienie. Owe skrzydła i pióra – ptasie czy anielskie – są samodzielnym bytem i symbolem innej rzeczywistości, poezji, natchnienia. Ale też – może – codziennej szarości. Spoczywają – ciche i skromne, szare jak wróble. Zrywają się do lotu. Mówią o pragnieniu wolności, przestrzeni. Wprowadzają w klimat kontemplacji. Przekształcają się w krajobrazy wzgórz z dojrzałymi kłosami pod błękitem. W złocistej poświacie potęgują swą symbolikę nadprzyrodzonego światła. Rzeczywistość niebiańska, duchowa i ziemską, przenikniętą duchem. Raniona powierzchnia rysunku otwiera maleńkie plamki czerwieni pulsujące w szarym skrzydle życia. Stosina pióra wyznacza kierunek wznoszący, staje się drogą. Promienie i promyki, jak rozchodzące się fale, zanikają w ogarniającej świetlistości. Zwraca uwagę doskonałe wykorzystanie pustej płaszczyzny – ciepłej, lekko szarzejącej bieli papieru.

Dwa duże płótna, spinające całą ekspozycję barwną skrzydlatością, wypełniają kładzione szerokim gestem i długimi pociągnięciami pędzla smugi piór. Oddzielna grupa prac to wizerunki ptaków, czasem zamieniające się w abstrakcyjną grę plam barwnych, oddające z wrażliwością piękno tych stworzeń, ich ruch pełen wdzięku. Mniej natomiast przemawiają do mnie prace, w których pojawia się człowiek – ale być może są one początkiem nowych twórczych poszukiwań.■

Joanna Jeżewska-Desperak
– wystawa w OPK „Gaude Mater”
(marzec-kwiecień 2001).

MALARSTWO

TADEUSZA RZEŹNIKA

Władysław Ratusiński

TADEUSZ RZEŹNIK ŁĄCZY W SWEJ TWÓRCZOŚCI klimat bajki przepelnionej łagodnym smutkiem z zamiłowaniem do techniki. Jest to zamiłowanie szczególnego rodzaju, które nie wyraża się fascynacją najnowszymi urządzeniami, najmodniejszymi modelami samochodów. W jego obrazach główne rolę grają stare, pogięte rury wydechowe, śruby, nakrętki, żarzące się diody i triody w przedpotopowym, lampowym radioodbiorniku. Artysta podchodzi do nich z czułością i współczuciem, oczyszcza, pucuje, gładzi do połysku. „Apoteoza silnika spalinowego” – to tytuł wcale nie ironiczny. Umiejętność oddania rodzaju materiału, metalicznego połysku, światełek odbitych na powierzchni blachy jest mocną stroną malarza. Ta umiejętność służy mu do wciągnięcia widza w oniryczny świat, w którym uroda malarstwa każe zapomnieć, iż mamy do czynienia z rzeczami pochodzącymi ze złomowiska czy straganu z rupieciami. Zniszczone, bezużyteczne już przedmioty ożywają na nowo, świecą własnym blaskiem, istnieją w nieokreślonej ciemnej przestrzeni albo snują się jak zjawy okryte mglistym woalem, który przetwarza je i wywołuje w widzu niespodziewane skojarzenia. Uroda tego malarstwa nie polega na zróżnicowaniu i bogactwie tkanki barwnych plam. To łagodne, przenikające się odcienie, laserunki w harmoniach subtelnych, którym obce są gwałtowne, dramatyczne kontrasty. Nie ma agresywnych kolorów.

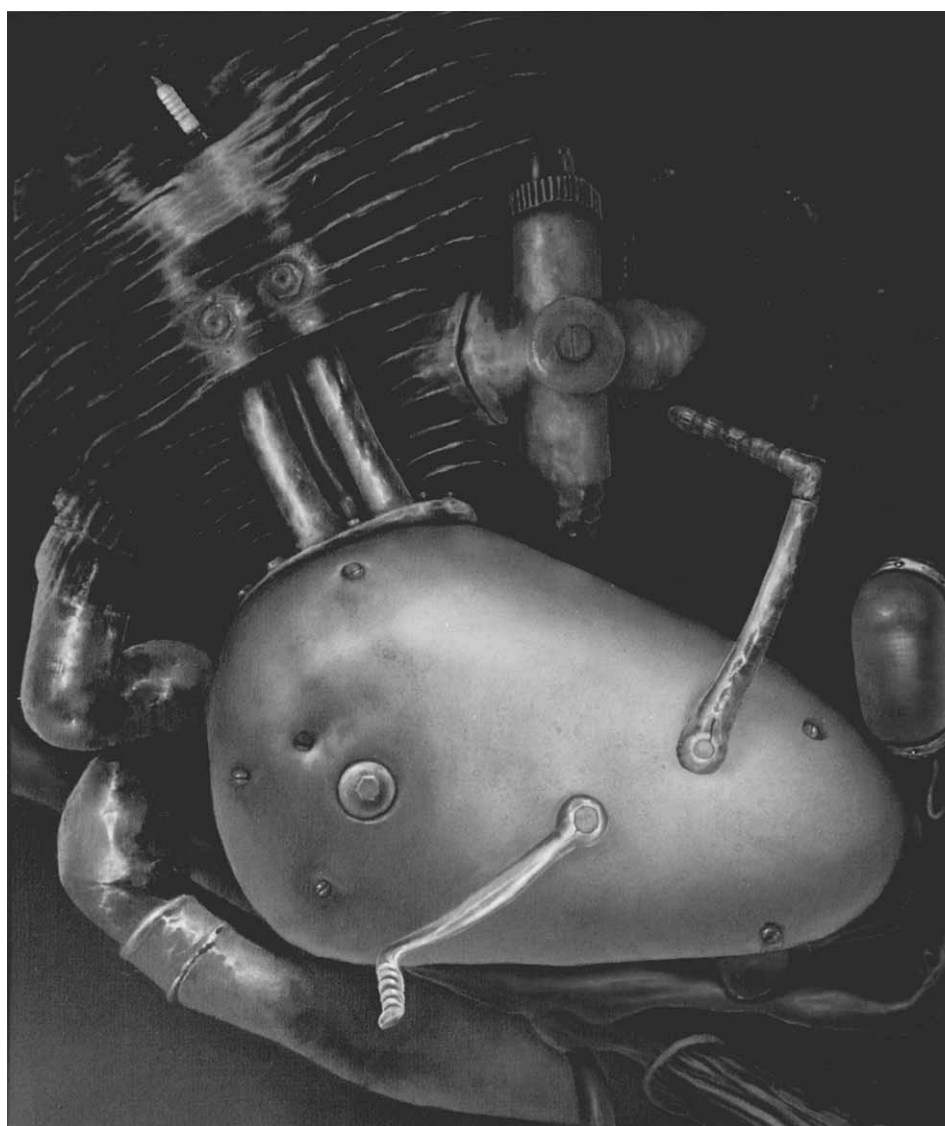
W niektórych obrazach koloryt wydaje mi się nawet trochę mdły, blady.

Przedmioty zmieniają nie tylko przeznaczenie, ale nawet jakby swoją naturę.

„Widmo ciężarówka” przypomina świecącą na fioletoworóżowym niebie masyw górski. Elementy urządzeń technicznych w procesie destrukcji i przeobrażeń stają się formami na poły organicznymi, które tworzą fantastyczne pejzaże. W obrazach Tadeusza Rzeźnika światło wędruje po zgiętych rurach, zapala iskierki od-

blasków, przebija mgłę czerwienią lampek. Jest światło dzienne i sztuczne; można je czasem odbierać jako sygnał świata duchowego, a w każdym razie buduje ono szczególny nastrój prac artysty.

Tadeuszowi Rzeźnikowi bliska jest atmosfera małych miasteczek i przedmieść, z ich pewnym zamknięciem, sennością, brakiem perspek-



tyw, życiem z dnia na dzień – szczególnie w środowiskach zepchniętych na margines przez los, sytuację społeczną i gospodarczą czy też własne postępowanie. Widać to we wcześniejszych rysunkach i wypowiedziach. Ale klimat tych obrazów może być bliski każdemu. W każdym jest – mniej lub bardziej uświadomiony – świat dzieciństwa, tęsknoty, marzeń niespełnionych. Lalki w całej ich bezradności, o twarzyczkach i rączkach namalowanych z iluzją trójwymiarowości, mają swoje wewnętrzne życie. Czasem już nie wiadomo, czy to portret lalki czy świadomie przetworzony, zdeformowany wizerunek dziewczynki. Ta deformacja wnosi niepokój. Postaciom towarzyszą ich zabawki, a także inne istoty. Niebieska ważka unosi się nad głową dziewczynki-lalki. W przestrzeni nieba otwiera przykrywkę blaszane pudełko po landrynkach – przy czym dla wprowadzenia nastroju pewnego napięcia jaśniejsza partia nieboskłonu umieszczona jest na górze obrazu, zaś ciemniejsza niżej, co działa jak burzowe chmury nadciągające nad horyzontem.

W twórczości Tadeusza Rzeźnika daje się zauważyć dość wyraźna ewolucja. Wcześniejsze obrazy są bardziej ostre, drapieżne i dramatyczne, choć równocześnie jest w nich coś z zabawy. Koloryt bywa jaskrawszy, groteskowe formy wypełniają cały obraz. Jest nieraz jakaś duszność, brak przestrzeni. Zdarzają się niesamowite w swej deformacji, czasem trochę naiwnej, gęby i gryząca (dosłownie) ironia. W dawniejszych pracach bywa obecna agresywna prowokacja. W obecnych – przeważa refleksja, pozorne, powierzchowne uspokojenie. Niepokój kryje się głębiej. Tak, że pewna pani mogła zakrzyknąć z pełnym zachwytem przekonaniem: „Jakież to śliczne!”

Prace artysty zwracają uwagę niezwykle pomysłami i absurdalnym humorem wyrażonymi czasem także w niebanalnych tytułach. Swymi obrazami artysta prowadzi grę ze światem, zaczepia widza, prowokując go do konfrontacji z tym, o czym wolałby on nie myśleć. Stary silnik, którego części namalowane są z fotograficznym realizmem, patrzy oczyma śrubek. Silnik odczuwa ból. Rachityczny owad o wątych nibyskrzydłach leci na lotni pod obłokami.

Za jeden z najlepszych obrazów Tadeusza Rzeźnika uważam – powstały parę lat temu i nieobecny na wystawie, ale należący już do tego nowego okresu – „Elektryczny pejzaż”, pełen poetyckiego nastroju, tajemniczości. Wnętrze starego radiodbiornika lampowego namalowane jest

z warsztatową wirtuozerią nie mającą nic z pustego popisu. Pisałem o tym obrazie w „Alejach 3”.

Wystawa pozostawia pewien niedosyt pod względem ilości pokazanych prac. Są wśród nich obrazy zasługujące na szczególną uwagę, w których dobry warsztat służy głębi wyrazu. Tak jest z refleksyjną, zagadkową, pełną smutnego wdzięku „Lalką, która myśli”. Podobnie „Hodowla małych czerwonych kuleczek” – fantastyczny pejzaż z wysokimi górami i wyrastającymi na pierwszym planie dziwnymi formami roślinnymi, które w interpretacji autora oznaczają pierwiastek męski i żeński we wzajemnych relacjach. „Sprężyna”, gdzie techniczne śmietnisko przeraża się w formy organiczne z ich pewną oślizłością, ale nie budzące odrazy; przeciwnie, mające duże wartości estetyczne. „Nimfa” – biedna, smutna dziewczynka-lalka w poszarpanej szarobłękitnej sukience, z błękitnym naszyjnikiem. Zdarza się, że wspomniana już umiejętność ukazywania środkami malarskimi metalowych części urządzeń technicznych zostaje doprowadzona do skrajności, gdy obudowa silnika wprost wyrywa się z obrazu swą namacalną, połyskliwą metalicznością. Są też obrazy z interesująco namalowanymi fragmentami (jak choćby owe góry w „Widmie ciężarówki”, czy puszcza i lewitujące landrynki w „Landrynkach w kosmosie”), jednak jako całość zdają się jeszcze wymagać dalszej pracy.

Ekspozycja wiele traci przez umieszczenie w lokalu, którego wnętrze nie jest przystosowane do wystawiania, szczególnie takich obrazów. Gdy świecą się białe kule lamp, bardzo zakłócają odbiór, kiedy zaś w ciągu dnia są zgaszone – półmrok utrudnia zobaczenie czegokolwiek. Właściwe oświetlenie to warunek minimalny i konieczny, aby można było poważnie myśleć o pokazywaniu tu obrazów wymagających pogłębionej percepcji.

Te zastrzeżenia w niczym nie osłabiają mojego przekonania, iż wystawa stypendysty Urzędu Miasta świadczy o słuszności przyznania mu stypendium – Tadeusz jest jednym z najbardziej obiecujących artystów środowiska częstochowskiego. Ważne jest stwarzanie artystom, którzy nie zaistnieli jeszcze w pełni w świadomości miłośników sztuki, a mają wszelkie dane po temu – warunków i bodźców umożliwiających twórczość – również od prozaicznej, czysto materialnej strony. Zaś wymóg pokazania efektów pracy na wystawie stanowi niejako gwarancję, że pieniądze zostaną spożytkowane zgodnie z intencją fundatora. ■

OGRODY

Władysław Ratusiński

WAŻNYM WYDARZENIEM artystycznym jest wystawa malarstwa Barbary Schrenzel w Miejskiej Galerii Sztuki (27 kwietnia – 27 maja 2001). To pierwsza w Polsce indywidualna ekspozycja prac artystki, która uczestniczyła już w Częstochowie w wystawach: „Ogród” (1998), „Księga, skała, most i gwiazda” (1999) oraz „Na początku” (2000). Pani Schrenzel mieszka w Chicago. Ma duży dorobek wystawowy. Zajmuje się malarstwem i sztuką użytkową. Obecna wystawa obejmuje dwadzieścia jeden obrazów malowanych akrylem na płótnie. Można by się w nich dopatrywać pewnego pokrewieństwa z klimatem dzieł Kazimierza Mikulskiego. A z pewnością nasuwa się porównanie z Celnikiem-Rousseau. Przede wszystkim jednak są to dzieła twórczej indywidualności dużego formatu. Surrealne kwiaty, mające swe pierwowzory we florze Ameryki lub innych kontynentów oraz wyrosłe w wyobraźni artystki, są namalowane z dokładnością, zmysłem dekoracyjnym, wrażliwością, a równocześnie siłą. Jest to malarstwo harmonii koloru. Pastelowy, wyrafinowany, a zarazem mocny koloryt stanowi o zmysłowym pięknie obrazów. Barwy czyste i szlachetne dźwięczą w ciszy. Zestawienia intensywnych różów, czerwieni, zieleni niosą ogromny ładunek energii, zdają się dominować nad otoczeniem.

W innych pracach ustępują one miejsca wyciszeniu. Artystka ogranicza paletę barwną na przykład do odcieni bieli i szarzejących błękitów. Spokojne, pozbawione dramatycznych napięć światło słoneczne sączy się prze-

siane przez delikatną warstwę chmur. Kiedy indziej staje się ono ostre, wydobywając dziwne rośliny z ciemnego tła. Niekiedy otwarte kielichy kwiatów jarzą się swoim światłem na tle nocnego nieba. Rośliny Barbary malowane gładko, starannie, z dbałością o każdy listek, trwają obok siebie w bezruchu lub lekko kołyszą się, wyginają. W tym świecie nie ma wiatru. Tajemnicze światło napęnia wszystko. Każdy kwiat ma swój własny, odrębny charakter. Nawet rośliny, które mogą być wyraźnie określone gatunkowo nabierają niesamowitości. Rosną zwykle na terenie lekko pofałdowanym, porośniętym zieloną trawą, z której najdrobniejsze kwiatki wznoszą się niby potężne drzewa... Horyzont jest zawsze bardzo bliski, stoimy u stóp wzgórza, za którym rozciąga się albo niewidoczna stąd dolina, albo – co bardziej prawdopodobne – przestrzeń nieznanego. By-



wa i tak, że teren staje się dramatycznie pofałdowany, widnokrąg zastawiają masywy fioletowych gór.

Ogród rajski, ogrody z innych planet, dżungle – pod warstwą spokojnej estetyki kryją emocje, lęki, wspomnienia. Piękne rośliny bywają czasem groźne, drapieżne. Staloszare drzewa wkręcają się jak świdry w spokojną łąkę, a ich korony mogą budzić militarne skojarzenia.

Jednak z większości prac Barbary emanuje pogoda, optymizm.

Obrazy nabierają blasku utraconego rajskiego ogrodu. Co więcej, zdają się rajski ogród uobecniać. ■

MAM OKAZJĘ OBSERWOWAĆ GO OD blisko dziesięciu lat, czyli od początku jego pracy prasowej. Stara się być postacią drugiego planu, dyskretny i opanowany, nie wadzący tym, którzy grają role pierwszoplanowe w spektaklach, z których on ma przygotować materiał fotograficzny. Ta cierpliwość, dystans, może nawet pokora zostały sownie nagrodzone: na ostatnim, rozstrzygniętym 12 marca br., Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej 2001, częstochowianin **LESZEK PILICHOWSKI** otrzymał I nagrodę w kategorii „Życie codzienne”, za zdjęcie pojedyncze. Jest to kolejny, i największy z dotychczasowych, sukces częstochowskiego fotoreportera w najbardziej prestiżowej krajowej konfrontacji fotografii prasowej. Serie laurów rozpoczął w roku 1998 Jacenty Dędek z „Dziennika Zachodniego” otrzymując III nagrodę w kategorii reportażu. Rok później także III nagrodę otrzymał Piotr Gajek z „Super Expressu”.

Fotografia prasowa jest specyficznym językiem komunikowania się z czytelnikiem za pomocą obrazu. Wprawdzie na fotografii reportażowej na najwyższym poziomie mogą sobie pozwolić tylko największe i najbogatsze redakcje, a w przeważającej większości tytułów zdjęcie bywa tylko ilustracją materiału tekstowego, nie zmienia to jednak faktu, że – jak mówią znawcy – jedna dobra fotografia potrafi zastąpić dziesięć tysięcy słów.

Leszek Pilichowski pracę fotoreportera prasowego rozpoczął wraz z ukazaniem się pierwszego numeru lokalnego dodatku „Gazety Wyborczej”, czyli 8 maja roku 1991.

– W czasie raczkowania „Gazety” – mówi – fotografie obrabiałem w prymitywnej domowej ciemni. Pierwsze numery dodatku miały aż... cztery strony, wykonywane były środkami technicznymi nieporównywalnymi z tymi, jakie redakcja posiada obecnie, a pamiętnym dla mnie zdjęciem, którym zaistniałem „na łamach”, była fotografia z zawodów żużlowych.

– Ile zdjęć zrobiłeś od czasów tamtego, pierwszego?

– Jest tego sporo, około 150 tysięcy klatek, z czego oczywiście niewielka część była publikowana.

– W jakich okolicznościach powstała nagrodzona fotografia?

– W styczniu ub. roku zrobiłem serię zdjęć z dorocznego zjazdu chasydów, którzy przybywają z całego świata, aby w Lelowie modlić się na grobie cadyka Dawida. Z fotografii, które zrobiłem tam w ciągu trzech dni na polskie press foto wysłałem osiem.

– W dobie ekspansji różnej klasy aparatów fotograficznych o bardzo wysokim poziomie automatyki, także cyfrowych, widz cie często posługującego się aparatem manualnym.

– Obydwa rodzaje kamer mają swoje zalety. Szybki aparat to głównie podstawa w pracy reporterskiej, ale aparat manualny, także z racji mniejszych gabarytów i cichej pracy, to większa dyskrecja. Nie zwraca uwagi osób fotografowanych, co jest tak cenne przy reportażu kameralnym. Przy jego pomocy mogę również bardziej kreować sytuację, panować nad warunkami jakie zastałem, wydobyc efekty, o które mi chodzi. Ja na przykład nigdy nie używam flesza w nastawieniu automatycznym, dostosowuję go do potrzeb. Jest on wprawdzie bardzo mądrym urządzeniem, ale w różnych warunkach fotografowania oczekuję od niego różnych zachowań, które mu programuję. A przy tym wszystkim lubię na korpusie aparatu fotograficznego te wszystkie pokrętła, hebelki, których w najnowszych modelach przeważnie brak. Dlatego posługuję się dwoma Nikonami: F-4 i FA, z zestawem obiektywów, a wciąż jeszcze marzy mi się Nikon F-3. Nagrodzoną fotografię wykonałem Nikonem FA z obiektywem o ogniskowej 20 mm, bez użycia flesza.

– Czy zdarza ci się, że masz dość fotografowania, które jest

twoją pracą i to pracą szczególną: jesteś dyspozycyjny na tak zwany „okrągły zegar”?

– Mam szczęście, że lubię to co robię i przeważnie aparat fotograficzny towarzyszy mi wszędzie. Zabieram go nawet wówczas, gdy wychodzę na dłuższy spacer z psem. Wyjazdy urlopowe także dostosowuję do terminów ciekawszych imprez, a więc moja profesja, niestety, przenosi się na sprawy rodzinne.

– W centralnej redakcji „Wyborczej” pracują wielcy mistrzowie polskiego fotoreportażu, że wymienię tylko: Krzysztofa Millera, Sławomira Sierzbutowskiego, Piotra Wójcika, Kubę Atysa, Jerzego Gumowskiego i Piotra Janowskiego. Zwykle około połowa nagród w corocznych konkursach fotografii prasowej staje się łupem fotoreporterów z tej redakcji. Czy będąc w prowincjonalnym oddziale tego dziennika nie odczuwasz kompleksów?

– Jeśli Schumacher wygrywa wyścig Formuły I, to na tego mechanika, który zmienia koła w jego aucie też sływa drobna cząstka splendoru należnego mistrzowi. Ze mną jest podobnie. Już sam fakt, że należę do „Gazetowej” rodziny daje poczucie satysfakcji. Zauważenie i nagrodzenie mojej fotografii dało mi nie tylko sporo radości, ale być może spowodowało, że będąc w tyle za tymi najlepszymi, przesunąłem się o jakiś mały krok do przodu.

– W niewielkim częstochowskim środowisku fotografujących, gdzie wielu czuje się mistrzami, jak to w małym mieście, sporadyczne są sympatyczne wzajemne gesty z takich okazji jak otrzymane nagrody, wystawy...

– Poza najbliższymi i jeszcze paroma osobami, cieszyły się także koleżanki i koledzy redakcyjni, ale wielce uradowały mnie gratulacje Wojciecha Prazmowskiego, które

na redakcyjne biurko przyniosła poczta.

– Po prostu trzeba mieć klasę! A teraz z przeciwległego bieguna: czy miałeś jakieś rażące wpadki?

– Najbardziej nie mogę odżałować jednej. Zdarzyła się przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi. Do Częstochowy przyjechał wówczas Leszek Miller, który odbywał spacer po mieście, rozmawiał z przechodniami, a ja fotografowałem. Pan Miller, z towarzyszącymi osobami, zaszedł na piwo do kawiarenki na placu przed ratuszem, później odwiedzając „Wiedeńską” trafił na odbywające się tam wesele, gdzie został mile powitany i przepił kielicha za zdrowie młodej pary. Szczęśliwy ze zrobienia atrakcyjnych fotek pobiegłem wywołać film i... nogi się pode mną ugięły: zakładając go do aparatu w pośpiechu, na ulicy, niestarannie wsunąłem końcówkę do szpulki transportującej i w czasie tych wszystkich atrakcyjnych dla reportera scen film tkwił sobie spokojnie w kasecie i chichotał ze mnie niemiłosiernie.

– Czy otrzymany laur skłonił cię do przygotowania indywidualnej wystawy fotograficznej?

– Dostrzeżenie mojego zdjęcia pośród ponad trzech tysięcy innych przez kompetentne, międzynarodowe jury daje oczywistą motywację do pracy, a także niesie różne refleksje, z których jedną jest wątek wystawy. Nie zależy mi jednak na wystawianiu tu i ówdzie dla odnotowania tego faktu w moim życiorysie. W tej chwili bardziej marzy mi się zaistnienie na World Press Foto, a wiadomo, że impreza tej rangi, gdzie są wyłącznie dobrzy, to także loteria i trochę szczęścia. Spróbować jednak wypada. Sprawę wystawy też muszę przeżywać.

– Koniecznie, z pozytywnym rezultatem, do czego cię publicznie zobowiązuję.



Reportaż ze spotkania chasydów w Lelowie w roku 2000.



I nagroda w kategorii „Życie codzienne” Konkursu Polskiej Fotografii Prasowej – Leszek Pilichowski.



XI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”

Częstochowa 1–6 maja 2001

Ośrodek Promocji Kultury
Częstochowa, ul. Dąbrowskiego 1
tel. 324 36 38

1 maja

18.00 – Bazylika Jasnogórska

Koncert Inauguracyjny pamięci
Ks. Kardynała Stefana
Wyszyńskiego
K. Penderecki – Te Deum,
A. Bruckner – Te Deum
Wykonawcy:
Chór Filharmonii Krakowskiej
przygotowanie chóru:
Jacek Mentel
Orkiestra Simfonia Varsovia
Soliści:
* Bożena Harasimowicz-Haas –
sopran
* Katarzyna Suska-Zagórska – alt
* Adam Zdunikowski – tenor
* Romuald Tesarowicz – bas
dyrygent: Krzysztof Penderecki

20.30 – Galeria Ośrodka Promocji Kultury

Otwarcie wystawy Hommage
à Edith Stein – „Kult i obraz”

21.30 – Kościół Ewangelicko-Augsburski

„Kamień – Rzecz o Edycie Stein”
monodram w wykonaniu
Barbary Lubos-Święs
muzyka: Bronisław Duży

2 maja

12.00 – Bazylika Jasnogórska

Inauguracja Liturgiczna
Festiwalu
Jan Oleszkowicz – Msza Bogucka
(prawykonanie)
Orkiestra Kameralna Filharmonii
Częstochowskiej
Polski Chór Kameralny „Schola
Cantorum Gedanensis”
przygotowanie chóru: Jan
Łukaszewski
dyrygent: Jerzy Swoboda

20.00 – Kościół Podwyższenia Krzyża Świętego

Koncert muzyki cerkiewnej
Wykonawcy:
Rosyjski Państwowy Chór
Mieszany im. A.W. Świeszni-
kowa z Moskwy (Rosja)
dyrygent: Igor Rajewskij

3 maja

15.00 – Aula WSP (ul. Waszyngtona 4/8)

„Całun” – spektakl Leszka
Mądziaka
Scena Plastyczna KUL
muzyka: Lech Jankowski

16.00 – Kościół Seminaryjny

Koncert Muzyki Polskiej
Wykonawcy:
Polski Chór Kameralny „Schola
Cantorum Gedanensis”
Chór Polskiego Radia z Krakowa
Orkiestra Filharmonii
Częstochowskiej
soliści:
* Katarzyna Trylnik – sopran
* Czesław Gałka – baryton
dyrygent: Jerzy Swoboda

20.00 – Aula WSP (ul. Waszyngtona 4/8)

„Całun” – spektakl Leszka
Mądziaka
Scena Plastyczna KUL
muzyka: Lech Jankowski

21.00 – Kościół św. Jakuba

Chorał gregoriański
Wykonawcy:
„Schola Gregoriana Pragensis”
(Czechy)

4 maja

18.00 – Kościół Ewangelicko-Augsburski

Koncert muzyki gospel
Wykonawcy:
„Big Mama & The Golden Six”

21.00 – Kościół N.I.M.

Koncert Muzyki Dawnej
Zespół Muzyki Dawnej „Musica
Fiorita”
* Ulrich Messthaler – bass
* Bork-Frithjof – zink
* Cosimo Stawiarski – violine in
alter Mensur
* Rebeka Ruso – viola da gamba
* Dolores Costoyas – theorbe
* Daniela Dolci – cembalo und
orgel

5 maja

18.00 – Filharmonia Częstochowska

„Jesus Christ Superstar” rock-
opera w dwóch aktach.
Wykonawcy:
Teatr Rozrywki w Chorzowie
muzyka:
Andrew Lloyd Webber
i Tim Rice.

21.00 – Kościół św. Jakuba

Koncert muzyki polskiej i portu-
galskiej
Wykonawcy:
Chór Kameralny z Coimbry „Ad
Libitum” (Portugalia)
dyrygent: Isilda Margarida
Chór Kameralny „Musica mun-
dana”
dyrygent: Jacek Piech

6 maja

18.30 – Bazylika Jasnogórska

G. VERDI – REQUIEM
Wykonawcy:
Narodowa Orkiestra
Symfoniczna Polskiego Radia
Chór Polskiego Radia z Krakowa
Przygotowanie chóru: Włodzi-
mierz Siedlik
Chór Politechniki
Częstochowskiej „Collegium
Cantorum
przygotowanie chóru:
Janusz Siadlak
Soliści:
* Anna Lubańska – alt
* Barbara Kubiak – sopran
* Piotr Nowacki – bas
* Ryszard Minkiewicz – tenor
dyrygent: Antoni Wit



ul. Kilińskiego 15, tel. 324 83 46
Internet: www.bigduo.pl
www.teatry.art.pl

5 sobota 19.00 *Pamiętnik wariata* – Histrion

6 niedziela 19.00 *Pamiętnik wariata*
– Histrion

8 wtorek 9.00 *Mayday* – scena duża

9 środa 9.00, 12.00 *Mayday* – scena duża

10 czwartek 10.00 *Kot w butach* – scena
duża

11 piątek 10.00 *Kot w butach* – scena duża

12 sobota *Rewizor* – Radom

19.00 *Proszę, zrób mi dziecko* – scena ka-
meralna

13 niedziela 19.00 *Proszę, zrób mi dziecko*
– scena kameralna

14 poniedziałek *Dziennik panny służącej*
– Kraków

- 15 wtorek 9.00** *Kot w butach* – scena duża
11.00 *Pamiętnik wariata* – Histrion
- 16 środa 9.00** *Kot w butach* – scena duża
11.00 *Pamiętnik wariata* – Histrion
- 17 czwartek 10.00** *Romanse i ballady*
 – scena duża
- 18 piątek 10.00** *Romanse i ballady*
 – scena duża
- 19 sobota 19.00** *Mayday* – scena kameralna
- 20 niedziela 19.00** *Mayday* – scena kameralna
- 22 wtorek 11.00** *Pamiętnik wariata*
 – Histrion
- 23 środa 9.00** *Ania z Zielonego Wzgórza*
 – scena duża
11.00 *Pamiętnik wariata* – Histrion
- 24 czwartek 9.00** *Ania z Zielonego Wzgórza*
 – scena duża
- 25 piątek 9.00** *Ania z Zielonego Wzgórza*
 – scena duża
- 26 sobota 19.00** *Premiera Scenariusz dla trzech aktorów* – scena kameralna
- 27 niedziela 19.00** *Scenariusz dla trzech aktorów* – scena kameralna
- 28 poniedziałek** *Rewizor* – Katowice
- 29 wtorek** *Rewizor* – Katowice
- 30 środa 10.00, 12.00** *Bambuko* – baśń dla dzieci, Teatr Śląski w Katowicach – scena duża
17.00 *Scenariusz dla trzech aktorów* – scena kameralna
- 31 czwartek 9.00, 11.00** *Scenariusz dla trzech aktorów* – scena kameralna



Częstochowa,
 ul. Wilsona 16,
 tel. 324 42 30

- 2.05. godz. 18.00** Koncert muzyki żydowskiej – sala koncertowa w ramach MFMS „Gaude Mater”.
- 5.05. godz. 18.00** Koncert pieśni maryjnych – sala koncertowa w ramach MFMS „Gaude Mater”.
- 9.05. godz. 8.00, 9.30, 11.00, 12.30** „Życie to nie teatr” – sala koncertowa (Narodowy Teatr Edukacji).
- 10.05. godz. 9.00, 10.30** Koncerty szkolne „Czy znasz tę melodię?” – sala koncertowa. Wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jacek Rogala – dyrygent. Program: J.S. Bach – *Aria z III Suity D-dur*, W.A. Mozart – *Symfonia g-moll KV 550 cz. I*, L. v. Beethoven – *V Symfonia c-moll cz. I*, G. Rossini – *Uwertura do opery „Cyrulik sewilski”*.
- 12.05. godz. 18.00** Popis uczniów Szkoły Muzycznej – sala koncertowa

16.05. godz. 18.30 Koncert Flamenco – sala kameralna.

15–19.05. godz. 8.30, 9.30, 10.30, 11.30 Audycje umuzykalniające „Konwaliowy koncert” – sala kameralna.

19.05. godz. 18.30 Koncert symfoniczny – sala koncertowa. Wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Marek Pijarowski – dyrygent, Jadwiga Kotnowska – flet. Program w trakcie ustalania.

26.05. godz. 18.30 Tańce w muzyce symfonicznej – sala koncertowa. Wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jerzy Salwarowski – dyrygent. Program: A. Dvořák – *Tańce słowiańskie*, L. Delibes – *Mazurek z baletu „Coppélia”*, P. Czajkowski – *Polonez z opery „Eugeniusz Oniegin”*, J. Brahms – *Tańce węgierskie*, Z. Kodaly – *Tańce z Galanty*.

1.06. godz. 12.00 XXV Przegląd Szkolnych Zespołów Artystycznych – sala koncertowa (MDK Częstochowa).

4.06. godz. 17.00 Popis Ogniska Baletowe – sala koncertowa.

9.06. godz. 18.30 Muzyka Krzesimira Dębskiego – sala koncertowa. Wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Krzesimir Dębski – dyrygent, Woytek Mrozek – klarnet.

11.06. godz. 17.00 Muzyczne perły z lamusa – sala koncertowa

16.06. godz. 18.30 Zakończenie sezonu artystycznego 2000/2001 – sala koncertowa. Wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jerzy Swoboda – dyrygent, Krzysztof Jakowicz – skrzypce, Tomasz Strahl – wiolonczela. Program: J. Brahms – *Koncert podwójny a-moll op. 102*, C. Franck – *Symfonia d-moll*.



BIBLIOTEKA GŁÓWNA

(al. NMP 22, tel. 324-20-95)

- 10.05. godz. 11.30, 17.05. godz. 11.30, 24.05. godz. 11.30** – Zagrożenia życia codzienne (przemoc fizyczna, kradzieże, wypadki komunikacyjne itp.). Prelekcja dla uczniów szkół podstawowych i gimnazjalnych – II piętro (sala odczytowa).
- 31.05. godz. 11.30** – Niebezpieczeństwa narkomanii. Prelekcja dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych – II piętro (sala odczytowa).

2–31.05. – Wystawa ze zbiorów własnych Biblioteki ph.: „Polskie Konstytucje” – hol, II piętro.

4–30.06. – Wystawa w opracowaniu Marka Czarnołęskiego ph. „Stanisław Łyszczarz w fotografii Edmunda Mularza” – hol, II piętro.

7.06. godz. 11.30 – Używki alkoholowe. Prelekcja dla uczniów szkół gimnazjalnych – II piętro (sala odczytowa).

FILIA BIBLIOTECZNA NR 8

(ul. Księżycowa 2, tel. 361-43-27)

7–31.05. – Wystawa autorska nieprofesjonalnej malarki Magdy Grzesiak ph. „Kwiaty polskie”.

7–31.05. – Prezentacja dorobku pisarzy związanych z Częstochową ph. „Cudze chwalicie, swego nie znacie” ze zbiorów własnych Biblioteki i wypożyczonych od czytelników.

14.05. godz. 9.00 – Spotkanie dzieci z klas „O” szkół podstawowych z przedstawicielami policji ph. „Bezpiecznie na drodze”.

15.06.–30.07. – Otwarty konkurs plastyczny dla uczniów szkół podstawowych ph. „Czesław Janczarski dzieciom” – zakończony wystawą prac.

23.06. godz. 10.00–13.00 Giełda używanych książek, podręczników i przyborów szkolnych.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 9

(ul. Nowowiejskiego 15, tel. 324-53-64)

24.05. godz. 10.00 – Konkurs literacki dla dzieci z klas V szkół podstawowych ph. „Czy znasz „Tajemniczy ogród” Frances Burnett?”.

31.05. godz. 10.00 – Dzień Dziecka w Bibliotece. Spotkanie integracyjne – występy dzieci ze Szkoły Podstawowej im. M. Koponickiej i Szkoły Podstawowej Specjalnej Nr 43.

7.06. godz. 10.00 – Konkurs dla dzieci z klas III szkół podstawowych ph. „Już pięknie czytam”.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 16

(ul. Krakowska 46/48, tel. 324-38-94)

7–31.05. – Konkurs rysunkowy dla dzieci z klas III-IV szkół podstawowych ph. „Moje wakacyjne marzenie”.

11.06. godz. 10.00 – Zakończenie konkursu, rozdanie nagród.

ODDZIAŁ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

(ul. Kościuszki 4, tel. 324-22-54)

17.05. godz. 9.00 – Konkurs-zabawa pt. „Wyprawa do Afryki” (na podstawie powieści Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”) dla dzieci z klas V szkół podstawowych.